



ALEKSANDER
KAMIŃSKI

Zośka i Parasol



OPRACOWANIE GRAFICZNE Andrzej Barecki

KOREKTA Jolanta Rososińska

ZDJĘCIE NA OKŁADCE

DOBÓR ZDJĘĆ I PODPISY Barbara Wachowicz

Zdjęcia ze zbiorów Barbary Wachowicz ofiarowane przez żołnierzy batalionu „Zośka”;
zdjęcia współczesne – Barbara Wachowicz; reprodukcje zdjęć archiwalnych – Adam
Płuciennik

Copyright © by Wydawnictwo Iskry, Warszawa 2009

ISBN 978-83-244-0091-1

Wydawnictwo Iskry

ul. Smolna 11

00-375 Warszawa

tel./faks: (0-22) 827-94-15

e-mail: iskry@iskry.com.pl

www.iskry.com.pl

BARBARA WACHOWICZ

Polska godna szacunku

Jest luty 1978 roku. Warszawskie kino „Skarpa”, po którym dziś pozostała już tylko ziejąca pustką jama. Premiera filmu Jana Łomnickiego „Akcja pod Arsenałem”. Tłumnie zebrana elita Warszawy i Warszawki. Rozgłośny gwar nagle cichnie i przez kino toczy się szmer: „Kamyk... Kamyk... Kamyk...”. Cała widownia wstaje. Burza oklasków. Siwy, niewysoki, nieco przygarbiony starszy pan o żywych, czarnych oczach – widomie zaskoczony, zażenowany pochyła głowę w geście podziękowań.

Druh Aleksander Kamiński, autor „Kamieni na szaniec”, książki uczącej pokolenia braterstwa i służby.

Ileż mu zawdzięczamy! Wojna zdruzgotała świat naszych rodziców. Nas rzuciła w pustkę. Było szaro, buro, beznadziejnie. Każdy samochód zatrzymujący się przed domem przejmował grozą. Może już idą po rodziców, żołnierzy Armii Krajowej, tych, którzy się nie ujawnili...

Pierwszym światłem w mroku tych stalinowskich lat była niewielka książeczka, objawienie, olśnienie. Zakazane, wycofane z bibliotek „Kamienie na szaniec”. „Rudy”, „Alek”, „Zośka” – wyciągają do nas pomocną dłoń. – Tacy byliśmy – mówią – a wy, jacy jesteście? Któreś z AK-owskich dzieci przemyciło też wiersz Tadeusza Gajcego: „Jedna jest ziemia, która niesie ciebie i mnie, i jedna młodość...”. Wiedzieliśmy, że zginął w powstaniu. Młodość nie była jedna. Ale była jedna ziemia – i ten „jeden dom, który nade mną w tobie rośnie” – jak napisał. Oni zginęli. Teraz my musimy wznosić ten polski dom – tak sobie tłumaczyliśmy nasze zadanie. Świat przestawał być pusty.

SZKOŁA CHARAKTERÓW

Jakimś cudem ocalało archiwum Aleksandra Kamińskiego. Udostępnione mi przez żonę Kamyka, Janinę z Sokołowskich, odkryło przede mną szereg bezcennych dokumentów. Wśród nich młodzieńczy pamiętnik, a na jego kartach słowa dziewiętnastoletniego harcerza, zapisane w 1922 roku: „Dużo marzę. I znów o Niej, o tej Białej, Ukochanej Najjaśniejszej Polsce. Pamiętam, jak przed laty

myślałem o Tobie. Byłaś mi Ideałem, Prawdą, Sprawiedliwością. Pamiętam, jak łzy szczęścia kapały mi z oczu, gdyś wstała z grobu... Marzyłem o Tobie!

A teraz? Czego Ci brak? Dlaczego Synowie Twoi tak chamsko wyzerają się o władzę?! (...)

Bo nie dość jest myśleć i chcieć o Polsce i dla Polski. Trzeba samemu reprezentować Polskę!!!”

Temu przekonaniu pozostał wierny. U schyłku żywota powiedział: „Pragnąłem przekazywać chłopcom i dziewczętom, młodzieży i dorosłym swój ideał Polski godnej szacunku”.

O ten ideał Polski, ideał Polaka walczył w najtragiczniejszych latach okupacji. „Wielka gra” jest nie tylko podręcznikiem walki z wrogiem, niesie wzorce życia.

„Jeśliby demokratyczna Rzeczpospolita skazana została przez jakieś fatum dziejowe na rządy słabe i nietrwałe – zginiemy! Na Polskę nierządną i nieporadną nie ma miejsca w naszej części Europy” – pisał druh Kamiński. „Polska będzie państwem demokratycznym, partie zaś polityczne są nieodłącznym i niezbędnym składnikiem każdego ustroju demokratycznego, gdyż demokracja – to dopuszczenie do głosu społeczeństwa.

Ale gdybyś mocno się przejął duchem którejś partii politycznej i wszedł w jej służbę, zdobądź się na najwyższy wysiłek, aby przestrzegać w swym życiu partyjnym ogromnie ważnej zasady: pomimo całej miłości i wiary, jaką darzysz swoją partię – zdobądź się na lojalną postawę wobec wszystkich innych partii, stojących na gruncie niepodległego państwa polskiego. Jedną z najprzykrzejszych właściwości życia partyjnego jest jakieś szatańskie otumanienie mózgow, które czyni z ludzi ongiś rycerskich, honorowych i uczciwych – ogłupiałych fanatyków, którzy we wszystkich innych partiach i stronnictwach politycznych prócz własnego dostrzegają tylko podłość, nikczemne intencje, nieudolność i złą wolę – oraz przekonani są, że najstraszniejsze klęski spotkać są gotowe ojczyznę z rąk ich przeciwników politycznych. Zdobądź się na rycerski i lojalny stosunek wobec innych partii. Od najskrajniej lewicowej do skrajnie prawicowej – traktuj wszystkie grupy jako te, w stosunku do których trzeba zdobywać się na lojalność, w stosunku do których trzeba czynić wysiłek zrozumienia ich intencji. Kultura polskiego życia politycznego była dotychczas fatalna. Ta dziedzina woła wielkim głosem o nowy styl życia.

Jeśli byś wszedł do życia politycznego i zyskiwał na to życie wpływ – miej ambicję wniesienia tam godnych odrodzonej Polski form postępowania, u podłoża których leżą stare, ale zawsze aktualne prawdy o tym, że służba narodowi, a nie pogoń za przywilejami i korzyściami – jest honorem każdego obywatela! Każdego polityka! (...)

Nie konstytucje, nie masy ludzkie i nie granice decydują o wielkości narodów i ich roli w świecie. (...) O wielkości i potędze państw decyduje nie ustrój, nie obszar, nie masa ludzka – lecz człowiek i charakter człowieka. (...) Styl życia Polaków zadecyduje o naszej wielkości”.

Redagowany przezeń „Biuletyn Informacyjny”, największe pismo podziemnej Europy – nie tylko niósł informacje z frontów, lecz także prawdziwie wychowywał naród.

„Za co umieramy, o co walczymy, dla czego żyjemy?”, „O służbie i zasłudze”, „Patriotyzm bierny i patriotyzm czynny”, „Każdy Polak żołnierzem”, „Kamienie przez Boga rzucane na szaniec”, „Armia Krajowa wojskiem demokratycznym”, „Nędza Polaków – to niewola Polski, bogactwo – to jej siła”, „Walka z pijaństwem – obowiązkiem narodowym”, „Co to jest demokracja?”, „W poszukiwaniu siły”, „Wolność, wolność...”, „O jaką Polskę walczymy?”, „Dlaczego odrzucamy komunizm?”, „Charakter narodowy Polaków” – już same tytuły tekstów Kamyka mówią o kręgu spraw najważniejszych, do których powracał. I tu mnóstwo spostrzeżeń nie utraciło swej aktualności. Analizując nasz charakter narodowy, Kamyk wylicza najważniejsze cechy: umiłowanie wolności i niezależność ducha, wielkoduszność, dobroć, poczucie humanitarne, męstwo, bohaterstwo, honor, umiejętność całkowitego oddania się sprawie publicznej... Ale te wspaniałe cechy mogą przyjmować formy pozytywne i negatywne. Obok nienawiści do obcego jarzma, poza tolerancją religijną, przeciwstawianiem się cenzurze i tajnej policji – warcholstwo i „dzielenie się na coraz drobniejsze partie”. Nasze chwalebne „umiłowanie wolności”: „Jest to zarazem jednak właściwość niebezpieczna, czyniąca z nas wyjątkowo trudne do rządzenia społeczeństwo, w którym uzgodnienie decyzji między wolnymi i niepodległymi grupami staje się często rzeczą nieosiągalną”. Prawdziwa demokracja „przejawia się w traktowaniu swojej partii jako części narodu, a nie jako objawienia narodowego, które jedynie tylko i wyłącznie zdolne jest obdarzyć naród wszelkimi dobrodziejstwami” – stwierdza Kamyk. Obok ofiarności i społecznej służby – istnieje u nas groźne

zjawisko niedoceniań wartości ludzi dobrze pracujących, niedoceniań zjawisk ekonomicznych, lekceważący stosunek do szarej, mrówczej pracy i do „szarego człowieka”, nieumiejętność organizacji działań i pracy. A jednocześnie – gdy Niemcy uczynili wszystko, by zniszczyć, unicestwić polską kulturę, szkolnictwo, by złamać, zamordować, rozpić naród – „szczyty młodzieży przechodzą dziś we wszystkich warstwach społecznych okres tak silnego napięcia ideowego, tak bezgranicznego oddania Polsce, organizują z takim rozmachem pracę nad sobą – że pozazdrościć im mogą pokolenia poprzednie” – sumował Kamyk na łamach „Biuletynu” optymistycznym akcentem swe rozważania poświęcone młodzieży w cyklu „Blaski i nędze życia okupacji” (1942).

„Życiem moim: Polska cierpiąca i walcząca. Wiara moja: Polska zwycięska i triumfująca” – to wyznanie wiary zamieszczone w „Katechizmie” kolportowanym przez chłopców i dziewczęta z Szarych Szeregów.

W archiwach Kamyka jest recenzja Jana Kotta z „Kamieni na szaniec” („Przekrój” 1946, nr 49) zaczynająca się słowami: „(...) odrzuca mnie od tej książki. To jest groźna książka. Tak wychowywano pokolenie kondotierów, a nie żołnierzy i działaczy świadomych celu i sensu walki”.

Przypominam, że kondotier – to najemnik walczący za obojętną mu sprawę dla pieniędzy...

13 września 1942 roku na ćwiczeniach hufca Szarych Szeregów Mokotów Górny „kondotier” Janek Bytnar „Rudy” odczytał rozkaz „kondotiera” Tadeusza Zawadzkiego „Zośki”, dowódcy Grup Szturmowych:

„Stoimy mocno i stać będziemy nadal na różnych odcinkach walki podziemnej, prowadzonej z wrogami już dziś. Chociaż walkę tę prowadzi się bez broni w rękę, jednak można w niej rozwinąć w sobie odwagę, karność, zdolność brania na siebie odpowiedzialności. Tej jedynej w swoim rodzaju szkoły charakterów, jaką jest dla nas walka podziemna, nie wolno nam przeoczyć.

Byłoby jednak źle, gdybyśmy poprzestali na przygotowaniu się tylko do walki zbrojnej, a zapomnieli o tych rozlicznych obowiązkach, jakie oczekują nas w Polsce niepodległej. Naszym celem jest nie tylko wychowanie żołnierza, ale ukształtowanie pełnowartościowego obywatela, zdolnego nie tylko do służby wojskowej, lecz do jak najszerzej pojętej służby społecznej, służby obywatelskiej”.

Rozkazy, listy, notatki bohaterów „Kamieni na szaniec”, bohaterów „Zośki i Parasola” stanowią bezcenne dowody, że – jak powiedział o swym pokoleniu

Zdzisław Stroiński, poeta poległy w powstaniu – „ta młodość nie myśli o zgłiszczach, lecz łunę myśli ponieść”.

Blask tej łuny obejmuje notatki Alka Dawidowskiego, które lat trzydzieści leżały ukryte w kominie. Ten „kondotier” w swych refleksjach postanawia: „Wszystko pojęte jako przygotowanie, zaprawa do dobrej pracy i całego życia... Wykorzystanie chwili, chwycenie okazji, by rozgrzane żelazo kuć na gorąco, by metal nie tracił na swej czystości i szlachetności, by coraz nowe i lepsze przybierał formy (...) najwięcej rzutkości i inicjatywy, energii (...). Nie wolno ograniczać się do poznania tylko jednego stronnictwa czy ugrupowania, obywatelskim obowiązkiem jest zapoznanie się w poszanowaniu dla przeciwnika ze wszystkimi kierunkami myśli politycznej polskiej: a) wychowanie obywatelskie, b) współżycie, c) kultura, d) nauczanie pracy zawodowej, społecznej, organizacyjnej”.

„Kondotier” „Mały Tadzio” Wuttke – brat „Czarnego Jasia” – w liście do ojca na Boże Narodzenie 1943: „Musimy trwać, musimy we krwi wzrastać. Tylko jak wzrośniemy. Droga krwi dokąd zaprowadzi. Wrogość, obcość, napięcie nieważności nasilają się (...). «Jako i my odpuszczamy» – czy rzeczywiście, czy też to tylko frazes?”.

I w liście ostatnim, u progu roku 1944, który miał być w jego życiu ostatni: „Świadoma odpowiedzialność za to jednorazowe nasze życie, które teraz niewiele kosztuje, nie tworzy bezwolnych rozgrzeszeń. Raz żyję, więc muszę żyć jak najlepiej”.

A „kondotier” „Czarny Jaś” – czołowy bohater książki Kamyka – twórca sławnej Akcji „M”, pisał do ojca 30 września 1943 roku, po śmierci „Rudego”, „Alka” i „Zośki”: „Odchodzą jeden za drugim, jak kamienie przez Boga rzucane na szaniec. Ale rzucane nie w nicość, nie na zmarnowanie. Jeden przy drugim twardo stoją. Jak cegła przy cegle. Wznoszą się ściany wielkiego domu. (...) To nic, jak przyjdzie być martwą cegłą, nieruchomą, tego domu. (...) Dużo murarzy potrzeba! Jak dom wymurują, niech nie stoi pusty. (...) Dom już widać. Tak! (...) Ale cegły drogie. Drogie cegły rzucane na szaniec. Co dnia! Niech nie stoi pusty!”.

WALCZYĆ ZE ZŁEM

„(...) Gdy pisałem «Kamienie», to przecież pisałem o zaprzyjaźnionych ze sobą chłopcach. Więc gdy zdecydowałem się pisać – dokonałem tego w ciągu kil-

ku dni, może tygodnia? Odczuwałem to tak, jakbym był medium, przez które wypowiada się jakaś wielka siła, siła podstawowych wartości. I zawsze miałem poczucie, że nie jestem autorem «Kamieni», lecz tylko pośrednikiem w ich przekazaniu (...). Wszystko to się splątało, stopiło: miłość i żaloba po poległych chłopcach, jakieś wizje podstawowych wartości i chęć dania im wyrazu” – ten list druha Aleksandra Kamińskiego do mnie, datowany 14 lutego 1978 roku, jest jedynym dokumentem mówiącym o tym, w jakim napięciu emocjonalnym powstawała ta książka zaczynająca się jak gawęda przy harcerskim ognisku: „Posłuchajcie opowiadania o «Alku», «Rudym», «Zośce»...”.

Dzięki dziecięcemu pamiętnikowi córki Kamyka – Ewy – znamy dokładnie czas powstania pierwszej wersji „Kamieni”. To początkowe dni maja 1943 roku. Kamyk dyktował swą opowieść żonie Janinie, ukrywając się w małej oficynie, na granicy miejscowości Piastów i Żbików pod Pruszkowem. Odnalazłyśmy to miejsce z panią profesor Ewą z Kamińskich Feleszko i usiłowałyśmy wywalczyć tam – przy ulicy Gałczyńskiego 44 – jakiś znak pamięci, mówiący, iż tu właśnie powstała najsławniejsza książka czasów okupacji... Niestety – na próżno. I pomyśleć, że to właśnie w tymże Piastowie chodził do szkoły Janek Bytnar „Rudy”, że tu nas po latach kaźniono za czytanie zabronionych „Kamieni”, a nieopodal – w Pęcicach, uciekwszy na wagary, odkryliśmy niezwykłą mogiłę z orłem i krzyżem Virtuti Militari. Tu spoczęli żołnierze 2. plutonu 3. kompanii batalionu „Zośka” polegli 2 sierpnia 1944 roku...

Dowódca plutonu – Iwo Rygiel, pseudonim „Bogusław”, pojawia się przełotnie na kartach „Zośki i Parasola”. Pamiętając, jak staliśmy się strażnikami pęcickiej mogiły – uda mi się po latach odtworzyć losy tych, którzy tam spoczywają, w IV tomie cyklu „Wierna rzeka harcerstwa”.

W gablotkach braci Romockich na naszej wystawie „Kamyk na szafku – opowieść o Druhu Aleksandrze Kamińskim i Jego Bohaterach” – eksponujemy pierwsze powojenne wydanie „Kamieni” z roku 1946, opatrzone dedykacją: „Pani Jadwidze Romockiej – matce dwóch wspaniałych synów, których pamięci w pierwszym rządzie pragnę poświęcić dalszy ciąg «Kamieni» – jeśli będę umiał je napisać”.

Kiedy słowa dotrzymał?

W latach 1946–1947 odwiedzał Kamyka Janek Rodowicz „Anoda”, żołnierz plutonu „Felek” batalionu „Zośka”, porucznik Armii Krajowej, uczestnik

akcji pod Arsenalem i dwudziestu innych w Wielkiej Dywersji... Kawaler Krzyża Virtuti Militari i dwakroć Krzyża Walecznych. Zwany – dla brawury, witalności, odwagi, fantazji i nieprawdopodobnego szczęścia – ułanem batalionu „Zośka”. Na pewno nie „słynął z flegmatycznego temperamentu”, jak pisze Kamyk! Jest to jedna z nielicznych omyłek w charakterystyce bohaterów.

„Anoda”, dwakroć ranny w powstaniu, ocalony przez przyjaciela, Staszka Sieradzkiego „Śwista”, który go wyniósł, ryzykując życie, spod ostrzału na Starówce, drugi raz, ze zgruchotanym ramieniem, przewieziony z konającego Czerniakowa na praski brzeg przez polskich żołnierzy 1 Dywizji im. Kościuszki (jednym z nielicznych pontonów, który zdołał dopłynąć) – natychmiast po powrocie do Warszawy, obok prac nad wydobywaniem spod gruzów poległych, zaczął gromadzić archiwum batalionu „Zośka”. Odnajdował cudem w misternie skonstruowanych skrytkach ocalone dokumenty, ratował je, błagał tych, którzy przeżyli: „Piszcie wspomnienia! Tylko nasza pamięć może ich ocalić!”.

Po rozmowach z Zośkowcami, po spotkaniach z „Anodą”, już wiosną 1946, Kamyk opracował część pierwszą – „W dywersji”, zaczynając opowieść przejmującą sceną przewożenia leśnymi duktami ciała „Zośki”... Książka miała być dalszym ciągiem „Kamieni na szaniec”, miała opowiadać o tych, którzy po odejściu „Rudego”, „Alka”, „Zośki” nadal będą pełnili ich służbę w braterstwie i bohaterstwie.

Harcerstwo odrodziło się po wojnie błyskawicznie i spontanicznie. Już w 1945 roku dwieście tysięcy młodych ludzi włożyło znów szare i zielone mundurki, przypięło krzyże, ukryte podczas okupacji, błysnęło lilijkami. Druh Kamiński został członkiem Naczelnej Rady Harcerskiej. W jego archiwum zachowała się kopia referatu wygłoszonego na konferencji instruktorów 15 czerwca 1946 roku. Powiedział: „Nie poszliśmy drogą małodusznego służalstwa, protestowaliśmy przeciwko obłudzie, jaką narzuca się całemu powojennemu życiu, broniliśmy z całą wiarą w słuszność sprawy ideałów harcerskich (...), broniliśmy swej harcerskiej twarzy, ale równocześnie usiłowaliśmy to wszystko czynić w oparciu o nową polską rzeczywistość – nie wbrew niej i nie poza nią”.

W marcu 1947 roku alarmował w liście do przyjaciela harcerskiej młodości – harcmistrza Oskara Żawrockiego: „Totalizm, jedyna organizacja młodzieży – to: 1) ogromne zubożenie życia, 2) pchnięcie silnie młodzieży do organizowania związków konspiracyjnych. Wszyscy winniśmy wyc na to jak psy i tłumaczyć niezmordowanie, by od tych pomysłów odwieść ludzi polityki! Byłaby to katastro-

fa. Na odwrót – trzeba popierać włączenie w pełnoprawne polskie życie dotąd odsuwanych na bok młodzieżowych organizacji katolickich. I bronić za wszelką cenę samodzielności ZHP. (...) Nie wolno się poddawać!”. Na kwietniowe święto harcerstwa roku 1947 przygotował gawędę „Następcy Świętego Jerzego”. Została ona przez samego ministra oświaty oceniona gromkim okrzykiem: „Niebezpieczeństwo!”. Wrogowie rozumowali wedle swej logiki trafnie. Bo jakże w epoce narastających represji odczytać te słowa byłego dowódcy małego sabotażu: „Musimy pozbyć się wszelkich wątpliwości i wahań. Musimy być następcami Świętego Jerzego w walce ze wszelkim złem. (...) Jeżeli postanowiliśmy przebijać mur, nie przebijajmy go głową, lecz jakimś umiejętnie wybranym narzędziem! Ale walczyć ze złem trzeba. (...) Odważnie i uporczywie, lecz rozumnie i inteligentnie. Kto by z walki ze złem zrezygnował – zrezygnowałby z człowieczeństwa!”. Gawęda została skonfiskowana. Na plenum Komitetu Centralnego Polskiej Partii Robotniczej w tymże kwietniu 1947 postanowiono: „Zdemaskować należy pozycję Kamińskiego jako szkodliwą”.

O tym, iż Kamyk pracował nad książką o „Zośce” i „Parasolu” jeszcze latem 1947, mówi list Janiny Kowalskiej, kolporterki „Biuletynu Informacyjnego”, matki dwóch łączniczek: Maryny, poległej w powstaniu, i Irki, zamordowanej w jego ostatnich dniach z grupą bezbronných dziewcząt. Irka i jej poślubiony w powstaniu mąż, „Czarny Jaś” Wuttke – mieli być jednymi z głównych bohaterów nowej książki Kamyka.

„Często i intensywnie myślą jestem przy Panu i jego pracy. Chciałabym swoimi myślami pomóc Panu w pisaniu – pisze matka Irki 27 lipca 1947. – Już za parę dni 3-cia rocznica Powstania. (...) Żeby tak całe Powstanie mogło być opisane!

Ja swoją Marynę ekshumowałam z Ogrodu Krasieńskich. Trudności z pochowaniem ich w kwaterze «Zośki» były ogromne. Cały tydzień trwały rozmowy z dygnitarzami, Radosław napisał b. mocny memoriał – a życie idzie swoim torem. (...) Obsychają łzy – zarastają groby”.

„Zośce” miał wkrótce przybyć jeszcze jeden. 7 stycznia 1949 zamordowano w Urzędzie Bezpieczeństwa podczas śledztwa Janka Rodowicza „Anodę”. Jego rodzice uratowali archiwum – pamiętniki Zośkowców.

Opowiadała mi matka „Anody”, Zofia Rodowiczowa, gdy ją odwiedzałam w domu starców na Szubińskiej:

– Janka aresztowano w wigilię Bożego Narodzenia 1948. Właśnie mieliśmy się dzielić opłatkiem i dziękowałam Bogu, że ocalał dla mnie chociaż jedno dziecko. Starszy syn zginął w powstaniu, ale przecież były matki, którym przy stołach wigilijnych stały po trzy puste krzesła...

Dzwonek. Myśleliśmy, że może ktoś z bliskich, samotnych...

Rewizja była dość pospieszna, dałam Jaśkowi ukradkiem opłatek, żeby podzielił się w więzieniu... Już go żywego nie zobaczyłam. Wyprowadzili. Archiwum stało w pudłach na szafie. Nie wiem, jakim cudem nie zauważyli. Porwaliśmy z mężem te pudła i zaczęli przenosić do zaprzyjaźnionych sąsiadów. Nagle refleksja – przecież oni po to wrócą! Co robić? Zaczęliśmy gorączkowo przegłądać. Trzeba zostawić wszystko o poległych, ich już nie aresztują, usunąć wszystko, co może zgubić jeszcze żyjących...

Wrócili drugiego dnia świąt Bożego Narodzenia. Od progu pytali o archiwum. Zabrali – te wyselekcjonowane przez nas resztki, które nikomu nie mogły zaszkodzić, na żaden naprowadzić ich trop.

Od życzliwych sąsiadów przenieśliśmy ocalone pamiętniki do Hanny Długoszowskiej. Jej już nie mieli kogo aresztować. Mąż, sławny przed wojną pilot – zginął w katastrofie lotniczej. Obydwaj synowie, Marek „Baobab” i Andrzej „Długi”, Zośkowcy, polegli w powstaniu... Baliśmy się, że mogą nas śledzić, umówiliśmy się na kontakt – jak za okupacyjnych czasów – w kościele Zbawiciela na jakiejś mszy. Zbielała jeszcze bardziej. I mnie siwizny przybyło, bo nic o Jaśku nie wiedzieliśmy – gdzie go trzymają, co się z nim dzieje, szykowałam paczki, chodziłam pod więzienie na Rakowieckiej, nie przyjmowali... A on już nie żył.

Hanna, klęcząc obok mnie – to pamiętam – szeptała taką dziwną litanię: ...I odpuść nam nasze winy... Oddałam matce „Hani Białej”... I odpuść nam nasze winy... U mnie już nie... I odpuść nam... Dziękuję za wszystko...

Przeżegnała się i poszła. Do „jako i my odpuszczamy” nie dobrnęła.

Te pamiętniki przyjaciół i towarzyszy broni jej synów były ostatnią lekturą matki. Hanna Długoszowska, otrzymując niemal codziennie wiadomości o nowych aresztowaniach wśród Zośkowców, popełniła samobójstwo.

Archiwum przekazała swej przyjaciółce, innej matce – Irenie Zakrzewskiej. I jej nie mieli kogo uwięzić. Hania Zakrzewska, dla piękności swych jasnych włosów zwana Białą, zginęła – jak Andrzej „Długi” – podczas pierwszych dni powstania na Woli...

Tyle matka Anody.

Dotarłam wiosną 1985 do obojga jeszcze żyjących rodziców „Hani Białej”. Matka Hani ofiarowała mi listy Kamyka i opowiedziała dalszy ciąg dramatycznych losów archiwum „Anody”:

– My, matki poległych, bardzo zbliżyliśmy się, jakoś tak przytuliły do siebie. Jadwiga Romocka starała się nas łączyć, zawsze mówiła: – Andrzej był ich dowódcą, dbał o nich, teraz tak ja muszę dbać o was – ich matki. Najbardziej niebezpieczne były te, które dzieci znaleźć nie mogły i nie znalazły, jak pani Kowalska, która córki Irki, żony Czarnego Jasia, szukała miesiącami. Inne nie wierzyły, jak pani Stefania Baczyńska, ciągle powtarzała: – Nigdy, nigdy nie uwierzę w śmierć Krzycha, on żyje, on jest gdzieś za granicą, on wróci.

Hanka Długoszowska swoich chłopców znalazła obu. Ja moją Hanię też. Nie miałyśmy na kogo czekać. A teraz my, matki dzieci pobitych, patrzyliśmy, jak ci ostatni ich przyjaciele, którzy przeżyli – idą do więzień – może na zatracenie.

Przyszła Hanka Długoszowska. Wiedzieliśmy już o aresztowaniu Anody. Niosła jakieś torby:

– Zośka Rodowiczowa dała mi na przechowanie te pamiętniki, które Janek zebrał. Wiesz, ja tam odnalazłam moich – powiedziała. I wysupłuje te kartki. Jakieś zapiski Andrzeja, rozważania o różnicy między wykształceniem a mądrością, definicje człowieka mądrego, który ma właściwą hierarchię wartości...

– No popatrz, czym to się ci moi synowie zajmowali między wysadzaniem pociągów i studiami w podchorążówce – Hanka pogłaskała papierek delikatnie. – A do Marka to się w powstaniu przyplątał pies. Dowiedziałam się z tego wspomnienia Bila. Ja w ogóle nie pamiętam tego chłopca, szkoda... Ładnie pisze, że „Baobab” olbrzym opiekował się tym kundelkiem i przezwali go Sadzik, bo ich pluton był „Sad”... I nie wiadomo, co się stało z Sadzikiem, jak Marek zginął. Może ja wezmę teraz jakiegoś psa, jak myślisz, Irenko?

– Tak, tak, namawiałam, żeby wzięła! – I nazwę go Sadzik! – powiedziała, żegnając się i zostawiając mi te pamiętniki. – Bo tu im będzie lepiej niż u mnie! – wyrzekła, jakby to było coś żywego.

Nie wzięła Sadzika. Popełniła samobójstwo.

Przeżyła śmierć synów. Ale śmierci cywilnej tych, co pozostali – nie mogła. Aleksander Kamiński nie napisał o śmierci „Baobaba”, ani o Sadziku... O mojej Hani też nie.

Kiedy matka „Długiego” i „Baobaba” zostawiła nam te wspomnienia Zośkowe – przeczytałam u „Śwista”, jak Hania zagrzewała ich do walki – a za chwilę, jak zobaczył ją na kartoflisku i jej włosy prawie białe, tak jasne, czepiające się naci... I Tadzio „Leszczy” tak pięknie o niej napisał – jak się przebijali ze Spokojnej, moja Hania biegła do rannego w strasznym ogniu. Ale ja nie mam żalu, że Hani nie ma w „Zośce i Parasolu”. Wiem, że pan Aleksander musiał wybierać...

Siostra moja, Maryła Łoskiewicz-Paszkowicz, to jego koleżanka z tajnego harcerstwa w Humaniu! Nosiła pseudonim „Szczęsna”. Maryła odnalazła pana Kamińskiego po powstaniu w Łodzi, utrzymywała z nim serdeczny kontakt. Po przeczytaniu przechowywanych u mnie pamiętników powiedziała: – On by je ocalił...

„Wśród ludzi mi bardzo bliskich były ostatnio w Warszawie bardzo ciężkie przejścia – musiałeś zresztą czytać komunikat o aresztowaniach resztek ludzi z byłych Batalionów «Zośka» i «Parasol»” – pisze Kamyk Oskarowi Żawrockiemu 28 lutego 1949.

Straszny rok. 7 stycznia ginie, wyrzucony przez okno w czasie śledztwa, Janek Rodowicz „Anoda”, wierny łącznik Kamyka z tymi, którzy przeżyli powstanie. Aresztowania narastają gwałtownie – więzienia na Rakowieckiej, w Fordonie, Rawiczu, we Wronkach zapełniają te „resztki” obu harcerskich batalionów. Bogdan Deczkowski, Bogdan Celiński, Hanka Borkiewiczówna (wyniesiona cudem ze Starówki, ranna, przywrócona życiu, wspierała ojca – pułkownika Adama Borkiewicza – w pracy nad monografią powstania), Staszek Sieradzki „Świst”, Andrzej Wolski „Jur”, wszyscy dostają wysokie wyroki – nierzadko śmierci, zamienione na dożywocie. Halka Dunin-Karwicka z „Parasola” – przyszła bohaterka książki Kamyka „Zośka i Parasol” – opuszcza śledztwo na noszach... Przesłuchuje ją osobiście oberkat bezpieczeństwa – Różański. Umierającemu z ran po powstaniu mężowi, harcmistrzowi Wackowi, pseudonim „Luty”, dowódcy kompanii w „Parasolu”, obiecała, że wszyscy Parasolarze spoczną razem obok siebie na Powązkach, nieopodal „Zośki”. Dotrzymała słowa.

I zostaje skazana na sześć lat, utratę praw obywatelskich i honorowych, przepadek mienia za to, że (według wyroku) „była kontynuatką więzi grupowej resztek ujawnionych oddziałów «Parasola», przez udział w pracach ekshu-

macyjnych była świadoma, że oddziały zostają utrzymane w grupowej więzi celem usiłowania zmiany przemocą ustroju Państwa Polskiego”!

Aleksander Kamiński odchodzi z Naczelnej Rady Harcerstwa już w 1947 roku. W 1949 zostaje wyrzucony ze Związku Harcerstwa Polskiego, który w tymże roku unicestwiono. W roku 1950 usuwają Kamyka z Uniwersytetu. Odzywa się gruźlica... Jest umierający...

„ZIARNA MOCY, PIĘKNA I WIELKOŚCI...”

Od dedykacji-obietnicy złożonej Jadwidze Romockiej minęło sześć ciężkich lat. 25 stycznia 1952 odpowiedział Kamyk gorzko Żawrockiemu: „Pytasz, czemu nie piszę jakiejś wielkiej powieści, zamiast Jaćwingów. Dramatyczne pytanie. Podobne zadawali mi przez kilka lat – niekiedy natarczywie – moi konspiracyjni przyjaciele: – Kiedy zabiorę się do dalszej części «Kamieni na szaniec»?

Nigdy.

Próbowałem – i nic nie wyszło. Długo męczyłem się, zanim znalazłem przyczynę: pisać dobrze można tylko o tym, co się bardzo dobrze zna i co się aktualnie gorąco przeżywa. Ja przestałem brać udział w wielkim, konkretnym i gorącym życiu, przestałem wiele widzieć i namiętnie czuć. A to, co było nawet przed paru laty – zaciera się w konturach, blaknie w wyobraźni i w uczuciach (...). Powieści nie napiszę już nigdy. Ani dobrej noweli”.

Tajemniczy Jaćwingowie – to bohaterowie pracy magisterskiej Kamyka (ukończył wydział humanistyczny Uniwersytetu Warszawskiego w 1928 roku), waleczne plemię, które wyginęło u schyłku XIII wieku, zanim posiadało sztukę pisania. Dźwigający się z choroby Kamyk pracuje niestrudzenie, rozwijając temat jaćwingowy w potężną dysertację. Pisał też monumentalną historię polskich związków młodzieży, owych „wspólnot przyjaźni”...

Po śmierci Stalina – nadchodzi czas tak zwanej odwilży.

3 lutego 1955 Kamyk powiadamia Oskara z uśmiechem: „Monopolistyczne panowanie Jaćwingów już się skończyło, zabieram się do pisania wielkiego opowiadania”... Dociera doń archiwum Anody.

Matka „Hani Białej” pisała (bez daty, ale dziękczynna odpowiedź Kamyka z 28 lutego 1956 umiejscawia rzecz w czasie): „Te pamiątki otrzymałam od

matki Długiego i Baobaba, biedaczka w pełni zdrowia i w pełni swego nad wyraz wartościowego życia popełniła samobójstwo, nie mogła znieść straty synów i jakby załamania się tych ideałów, za które oni oddali swe młode, szlachetne życia. (...) Te pamiątki są dla nas, matek, świętą relikwią”...

Te kobiety włączyły Kamyk do swej pracy. Składały mu relacje o swych poległych, prowadziły prace redakcyjne. Jadwiga Romocka, Janina Kowalska.

Tylko pani Stefania Baczyńska nie dożyła czasu prac nad „Zośką i Parasolem” ani pośmiertnego tryumfu wierszy syna. Umarła w domu starców w 1953 roku, samotna. W jednym z ostatnich listów w lutym 1947 roku, tuż po pogrzebie syna, pisała: „(...) odchodzę od wszystkiego, co nie jest bodaj wspomnieniem o Krzyszu”.

Matka dowódcy Krzysztofa – Jadwiga Romocka – całym sercem zaangażowała się w pracę Kamyka.

Zmagał się z sugestiami, sprostowaniami, prośbami, apelami. Niektórzy Zośkowcy uważali, że wybór bohaterów nie jest sprawiedliwy, że byli inni – dzielniejsi i godniejsi, zdawali sobie sprawę, że książka ta weźmie na skrzydła legendy tylko wybranych, żalowali pominiętych, poległych... Inni – uznawali wizerunki przyjaciół za zbyt blade... Obawy budził tytuł. Stanisław Broniewski „Orsza” (drugi po wspaniałym Florianie Marciniaku „Szarym” naczelnik Szarych Szeregów) zastanawiał się, czy dla niewtajemniczonych w Szaroszeregowe dzieje po upływie lat nie będzie on wywoływał jakichś zupełnie innych skojarzeń – i czy nie zostanie odczytany jak na przykład coś w rodzaju „Hanka i kalosze”...

Matka Andrzeja „Morro” pisała 30 października 1957, krzepiąc Kamyka w rozterkach: „Najzupełniej podzielam Pana stanowisko w ograniczeniu szczegółów i napływających poprawek, które wydawały mi się od początku, po napisaniu, już bezcelowe. I nie umiem sobie nawet tej pracy wyobrazić bez straty «na temperaturze uczuciowej» i staram się wszystkich przekonać, że to jest «opowiadanie» czy opowieść o ludziach – o ich duchowych zmaganiach, o atmosferze ich pracy i walki, a nie kronika czy historia.

Tytuł «Zośka i Parasol» wydaje mi się najlepszy i jestem pewna, że będzie atrakcyjny, że nic na tym nie straci późniejsza praca historyczna – przeciwnie, zachęci do poznania. O Andrzeja ani na chwilę nie miałam i nie mam najmniejszej obawy i cieszę się, że Go poznał Pan lepiej, dlatego właśnie tak bardzo zależało mi na wysłaniu Czarta – Laudańskiego – Witolda. Czart to ten,

który do mnie powiedział 23 II 45 r. «proszę nie szukać ludzi do ekshumacji – Andrzeja i Jaśka, nikt ich obu nie dotknie» – taki był przy poznaniu – i taki pozostał – toteż opinia Pana o Nim jest dla mnie wielką radością.

Byłam 26 VIII na Jasnej Górze – ogarniałam myślą wszystkich bliskich – Pana wielkie Serce dla moich Chłopców i Zośkowców wszystkich, których Pan wprowadza w życie nasze. Na nowo”.

Kamyk rzetelnie konsultował swą pracę także z jej żyjącymi bohaterami. Jest w jego archiwum wielostronicowy list wspomnianego przez panią Romoczką Staszka Lechmirowicza „Czarta” z dnia 28 października 1956, kwestionujący „Epilog”, którego był obok Bogdana Celińskiego „Wiktora” postacią centralną. Ich literacki dialog, wkomponowany przez Kamyka w autentyczną scenę, kiedy usiłowali przedrzeć się z konającego Czerniakowa na Pragę po zerwanych przesłach mostu Poniatowskiego, nazywa „Czart” „dyskusją nierealną”: „bo tak chyba, mimo wszystko, trzeba by nazwać rozmowę z Wiktorem o Termopilach i Kościuszcze, wobec faktu, że obaj byliśmy u kresu wyczerpania, że mieliśmy gorączkę i staliśmy na granicy maligny, że w takich sytuacjach inaczej się myśli, a prawie nie rozmawia, że jest mowa o przerznięciu powstania, a więc wkłada się w nasze usta słowa, które wprowadzają czynnik, który wtedy wśród nas ani w tej formie, ani w tym aspekcie nie występował”.

Kamyk „Epilog” zmienił. Nie ma już ani Termopil, ani Kościuszki, tylko dwóch rannych, półprzytomnych powstańców, brnących ku Wiśle... Finał książki jest prawie dokładnym powtórzeniem pamiętnika „Czarta” z 1945 roku: „Resztką sił ściskamy się z Wiktorem i osuwamy bezsilnie na żwir.

Gdzieś daleko, na drugiej stronie gra cekaem, a przed nimi szybuje jasna wstęga rakiety... Zmęczone oko chwyta jeszcze błysk wynurzającego się zza filaru bagnetu.

– Kto idzie?

– Powstańcy”.

Wśród powstańców z „Zośki”, którzy wspierali Kamyka w pracy nad książką na czołowe miejsce wysunął się Juliusz Bogdan Deczkowski-Laudański, więzień Pawiaka, bohater Powstania, więzień PRL-u.

Powiedział mi:

– Siedziałem we Wronkach, widziałem z daleka wysoką postać „Śwista”, postawionego twarzą do ściany. Przypominałem, jak śpiewaliśmy w powstaniu piosenkę „Ziutka” Szczepańskiego z „Parasola”:

A gdy miną już dni – walki, szturmów i krwi,
 Alejami z paradą, będziem szli z defiladą,
 W wolną Polskę, co wstała z naszej krwi.

I taka była nasza defilada.

A w 1956 roku spotkała mnie wielka nagroda – współpraca z druhem Kamińskim przy książce „Zośka i Parasol” od chwili, kiedy posłałem mu tomik wierszy Krzysia Baczyńskiego „Śpiew z pożogi”. Matka Krzysia, który był w mojej drużynie, napisała mi dedykację: „Przyjacielowi mego syna...”.

Dzieląc się z Bogdanem swymi rozterkami, Kamyk pisał: „Jest dla mnie jasnym, że ponieważ nie byłem żołnierzem Waszych batalionów – mogę popełniać jakieś niewłaściwości w charakterystykach, ocenach etc. Moja główna rola, Kochany Druhu, nie polega na tym, żebym miał możliwie ściśle odtwarzać tysięczne fakty, lecz na czym innym: ja jeden tylko jestem w stanie powiedzieć jedną prawdę najważniejszą, ona powinna przede wszystkim przetrwać”.

Udokumentowany rzetelnie tom, potężny fresk, powstał szybko. Od pierwszego sygnału w liście do Żawrockiego minęło półtora roku. 21 czerwca 1956 roku – na tydzień przed strajkiem robotników poznańskich – Kamyk zakończył pracę nad „opowieścią o niektórych ludziach i niektórych akcjach dwóch batalionów harcerskich” – „Zośka” i „Parasol”.

To prawda – nie był żołnierzem opisywanych batalionów. Ale przeżył z ich bohaterami czas małego sabotażu i Wielkiej Dywersji, przeżył powstanie – gdy jego „Biuletyn Informacyjny” stał na straży każdego powstańczego dnia. Towarzyszy generałowi „Monterowi”, Antoniemu Chruścielowi, w inspekcji powstańczych oddziałów – przez barykady Żelaznej, Miedzianej, Srebrnej, pierwsze strony „Biuletynu” poświęca heroicznemu boju Starówki, gdzie walczy „Zośka”, walczy „Parasol”...

„Na krańcach tej bohaterskiej fortecy, wśród gruzów i zwalisk, przywarły do ziemi nasze oddziały. Nie ma prawie wśród żołnierzy Starego Miasta ludzi, którzy nie mieli na sobie bandaży. Ich broń, przy pomocy której przeciwstawiają się najnowocześniejszym maszynom wojennym – to pistolety, karabiny, granaty i lekka broń maszynowa. (...)”

W czymże tkwi ta moc, ta siła, która po huraganowej nawale ognia nieprzyjacielskiego potrafi osadzić na miejscu szturmujące czołgi i posuwającą się za nimi piechotę? (...) Prawda jest tylko ta: na Starym Mieście walczą najcu-

downiejsi żołnierze, jakich wydało nasze pokolenie. Heroizm walczących żołnierzy udziela się stutysięcznej ludności Starego Miasta. (...)

Stare Miasto – serce Powstańczej Warszawy – krwawi, płonie i walczy. (...) Ale wśród tylu ruin i zgliszcz zasiane zostały ziarna takiej mocy, piękna i wielkości – że plony z nich umacniać będą polską duszę przez wieki całe”.

Należąca do redakcji „Biuletynu” harcerka – Zula Wiśniewska (obecnie Machnowska) – opowiadała mi:

– Było to w pierwszych dniach września, gdy przyszedł do Kamyka, kuszącą, Ryszard Białous, harcmistrz, hufcowy Powiśla za przedpowstańczych czasów, teraz kapitan Jerzy, dowódca batalionu „Zośka”. Przedał się z grupą powstańców ze Starówki do Śródmieścia przez Ogród Saski. Wtedy Kamyk po raz pierwszy usłyszał od naocznego świadka na gorąco zrelacjonowaną opowieść o tym wyczynie, który opíše po latach w „Zośce i Parasolu”.

Ryszard opowiadał twardo, żołniersko, krótko. Przeskok w huku granatów do kościoła świętego Antoniego, osaczeni w ostrzeliwanych piwnicach – przeczekują cały dzień, ranni, bez kropli wody, nocą – spokojnym krokiem, w mundurach i niemieckich hełmach, zsunąwszy opaski powstańcze – idą obok posterunków niemieckich, wymieniając z nimi uwagi:

- Wy skąd?
- Z pałacu Brühla!
- Uważajcie, bo tu ostrzał!

W relacji Jerzego powtarza się imię Andrzeja „Morro” – dowódcy kompanii „Rudy”. Jego wytrwałość, cierpliwość, rozwaga, czujność, odporność. Jest ranny, ale dowodzi. To on utrzymuje na wodzy nerwy oddziału, gdy siedzą w piwnicy, a wokół krążą Niemcy, wrzucając granaty... Kiedy czytałam „Zośkę i Parasol” – widziałam chwilę, kiedy Białous opowiada Kamykowi tę scenę – na gorąco...

Na gorąco – podczas powstania – dociera też do Kamyka wieść o śmierci „Piotra Pomiana” – Eugeniusza Stasieckiego. Ktoś z „Zośki” opowiada mu o ostatnim ognisku „Piotra”...

Kamyk opíše takie ognisko w książce „Zośka i Parasol”, opíše śmierć „Piotra” na Stawkach... Ale – o dziwo – będzie to bledsze, mniej wyraziste i przejmujące niż opis zamieszczony w „Biuletynie” z 29 sierpnia: „Noc już gwiazdzista. Ciepły wiatr głaska twarze. Oddziały posuwają się cicho... gdy odległość

od czujek niemieckich zmniejszyła się do minimum – Niemcy musieli coś wyczuć. Nagle blaski reflektorów oświetliły przedpole, a równocześnie niemieckie granatniki i karabiny maszynowe otworzyły gwałtowny ogień. (...) Druh Piotr działał w takich wypadkach odruchami nabytymi w licznych poprzednich walkach: trzeba być osobiście tam, gdzie najciężej (...), zrywa się i pędzi do czołowego plutonu (...), zatacza się w bok i pada”. Nie odnaleziono jego ciała. W „Biuletynie” epitafium „Druh Piotr” zakończył Kamyk słowami: „Mówi się, że rzeczą niemeńską jest przeczulenie, zaduma, marzenie. Ale harcerzom z batalionu «Zośka» wydaje się, że myśli i uczucia «Piotra» są z nimi. Zbyt silnie byli ze sobą związani. Wydaje się niekiedy, że krąży gdzieś tam w pierwszej linii, chodzi od jednego do drugiego żołnierza i mówi coś swoim życzliwym, dobrym głosem”.

„PISAŁEM Z POTRZEBY SERCA”

4 października 1956 Kamyk napisał: „Jeszcze dotychczas nie mogę przyjść do siebie po oddaniu «Zośki i Parasola»... Jestem rozłożony fizycznie i nerwowo”. Te słowa mówią, że książka powstawała w nie mniejszym napięciu niż „Kamienie”. Nie bez powodu autor mówi, że kocha swych bohaterów...

16 października (należałoby napisać wielką literą) 1956 pani Janina Kowalska złożyła maszynopis w Wydawnictwie Iskry, pełna niepokoju: „Boję się o los tej książki – jestem pesymistką – no i tak im wszystkim nie wierzę! Oddając dziś paczkę – miałam uczucie, że lwom na pożarcie”. Mamy ciekawą relację jednego z „lwów”. W pół wieku po powstaniu, a w lat czterdzieści od opisywanego wydarzenia – Ryszard Wasita wspomina, jak będąc podówczas dwudziestokilkuletnim redaktorem „Iskier”, postawił sobie za cel nawiązanie kontaktu z autorem „Kamieni na szaniec”: „Wielokrotnie (...) odwiedzałem Powązki Wojskowe, krążąc między brzoźowymi krzyżami moich starszych poległych kolegów. Mówiłem sobie – oto nasza własna i młoda gwardia, przemilczana w szkole, w książce, w prasie, w przeciwieństwie do tej obcej «młodej gwardii» tak natrętnie wciskanej w młode polskie głowy. Napisałem o tym wszystkim do Łodzi, gdzie mieszkali wówczas państwo Kamińscy”. Z wizyty w styczniu 1956 wyjechał obdarowany nową edycją „Kamieni” i dedykacją, którą uzna za „bodaj najważniejszą w życiu”. Kamyk uznał, że „serdeczne słowa o wojskowym cmentarzu powązkowskim – młodego człowieka – przyczyniły się decydująco do powstania

dalszego ciągu tej książki”. „(...) Pracował intensywnie nad dziejami polskich związków młodzieżowych – opowiada Wasita. – Była to praca zakrojona na kilka tomów. A jednak druh Kamiński (bo był druhem aż do śmierci) podjął natychmiast pracę nad przybliżaniem młodym pokoleniom tak drogich jego sercu ludzi z dwóch batalionów harcerskich Armii Krajowej”(...).

Niestety, odwilż 1956 roku, jak każde zjawisko atmosferyczne, nie była ugruntowana i trwała. Książka trafiła do cenzury na ulicę Mysią i wymagała walki o bardzo wiele nie tylko stron, ale wręcz poszczególnych zdań. Sprawa oparła się o dość wówczas wysoki szczebel w hierarchii instytucji na ulicy Mysiej. To i owo udało się wybronić, ale nie wszystko. Na pewno nie udało się wybronić takich tekstów o Stalinie, które można znaleźć w pierwotnej wersji maszynopisu, przechowywanej w archiwum Kamińskiego: «Stalin, jak widać, uważa Powstanie za akt polityczny przeciwsowiecki, odmówił użyczenia lotnisk eskadrom anglosaskim dokonującym zrzutów nad Warszawę – i jak można się domyślać – wstrzymując lotnictwo sowieckie od pomocy Powstaniu»... «Stalin na zimno pozwala Hitlerowi mordować Warszawę».

Te oceny włożone w usta bohaterów powstania Mysia ostro skrytykowała.

Ale i tak było to wielkie zwycięstwo – w październiku 1957 roku tom liczący 644 strony ledwie się ukazał – cały nakład natychmiast zniknął...

„Dziękuję, dziękuję, dziękuję – bo jak powiedział p. Wuttke – już inny pomnik nie jest im potrzebny. Przecież oni żyją – są tacy, jacy byli naprawdę, i tacy powinni pozostać w oczach obecnej młodzieży” – pisze matka Irki i Maryny – Janina Kowalska.

„Jak paciorki różańca – przesuwają się Ich rozmowy – dyskusje – Ich przeżycia i męka – tak dobrze znane, a wciąż żywe i bliskie. Pan swym sercem wszystko zrozumiał. Sercem Ich ogarnął – i nie umiem oprzeć się wrażeniu, że z Nimi rozmawiał. Na pewno stoją wszyscy przy swym Drogim Druhu i Przewodniku i pomagają będą w każdej chwili dnia powszedniego realizowania harcerskiego «stylu życia» i wszelkich jego trudów” – pisze matka Andrzeja „Morro” i Janka „Bonawentury” – Jadwiga Romocka.

Z matką obu braci Romockich był Kamyk w stałym kontakcie. Na jej ręce przekazywał połowę swych honorariów za „Kamienie”, które się ukazały znów – po dziesięcioletniej przerwie – z ponurym znakiem czasu, który odchodził: miejsce wydania – Stalinogród (młodzieży przypominam, że tak przechrzczono

Katowice!), potem za „Zośkę i Parasola” – dla rodzin poległych, na cele ekshumacji, na opiekę nad cmentarzem obu batalionów. W sierpniu 1957 pani Jadwiga Romocka relacjonowała: „(...) Wymienione zostały wszystkie krzyże brzozone – niektóre tabliczki, opłacono też groby bez rodzin i zaległość za kwiaty. Wyplacono też dwie większe zapomogi na kurację chorym matkom. Chciałabym przeznaczyć część «Zośki» na tablicę z nazwiskami nie odnalezionych”.

Taka tablica – potężna granitowa ściana – powstała. Widnieją na niej nazwiska tych Zośkowców, którzy nie spoczęli wśród kolegów na kwaterze (jak „Anoda”) lub też mogiły nie mają – jak Andrzej Samsonowicz „Książę”, do którego siostra – Hanka Samsonowiczówna, studentka – jak on – tajnej medycyny, pisała: „Nawet krzyżyk drewniany na tym miejscu nie stanie... Cóż zostało po «Zośce»... Co zostało po Tobie?”.

Co zostało?

Po ukazaniu się „Zośki i Parasola” młodzi pisali do Kamyka (listy są w jego archiwum): „Książka stała się dla nas bezcennym skarbem. Kochamy tamtych chłopców i dziewczęta, są dla nas wzorem, jak żyć i jak walczyć... Przez dwanaście lat uczęszczania do szkoły karmiono nas banalnymi słówkami, które... miały być pięknymi. Nauczono nas kłamać «wielkimi i prawdziwymi» słowami. I teraz, kiedy już możemy mówić prawdę, nie możemy się tego nauczyć. Musimy zacząć naukę od początku. Ale nie przerażamy się tym wcale, chcemy walczyć o nasze ideały, jak tamci chłopcy i dziewczęta walczyli o wolność. Następnego dnia po spotkaniu z Panem poszliśmy na Senatorską szukać tej kamienicy, w której Oni przeżywali te straszne chwile bohaterstwa. Ogród Saski, przez który Oni przechodzili, przestał być dla nas miejscem niedzielnych spacerów, a stał się Pomnikiem Bohaterów Warszawy i gdyby to od nas zależało, to właśnie ten pomnik postawilibyśmy tam” – Barbara Śniechowska, Ireneusz Misztala, Warszawa, 29 stycznia 1958.

„Skąd popularność?” – zastanawiał się Kamyk. I odpowiadał: „Wątek przyjaźni na śmierć i życie – odwieczny. Wątek bohaterstwa w służbie wartościom – odwieczny. Czytelnik spragniony odwiecznie w sztuce piękna, prawdy, sprawiedliwości”.

W archiwum Kamyka znajdują się związane konspekty przygotowane na wieczory autorskie w Łodzi – 19 listopada i 18 grudnia 1958. Cenna autoanaliza podstawowych cech swego pisarstwa:

„Jestem autorem jednej książki, nie beletrystą (...). Pisałem z potrzeby serca. Znałem cudowną młodzież, byłem wśród nich – gdy uderzył w nich grom – zapragnąłem gorąco pokazać tę młodzież światu, utrwalić prawdę, przedłużyć jej społeczne życie, poza śmierć. (...) Dokonywałem wyboru! Na pewne fakty patrzyłem przez szkło powiększające: dzielność, prawość, opiekuńczość (...). Ale niczego nie zataiłem! Mój pogląd na literaturę: musi krzepić serca! Ale nie wolno fałszować faktów i zatajać faktów”.

Jeśli już mowa o fałszerstwach, to godzi się tu wspomnieć o tym, iż w pewnej audycji telewizyjnej poszukiwacze kłamliwych sensacji obwieścili – iż Andrzej Romocki „Morro” zginął trafiony kulą... polskich żołnierzy, którzy o świcie 15 września 1944 roku przepłynęli Wisłę.

Tę haniebną i krzywdzącą wersję ogłoszono nie wiadomo na jakich podstawach. Żyła jeszcze wówczas, gdy tę bzdurę podano – bohaterska sanitariuszka, która miała odwagę wybiec, by ratować Andrzeja – profesor Zofia Stefanowska-Treugutt – wybitny historyk literatury romantycznej. Żyje do dziś, na szczęście, świadek śmierci Andrzeja z batalionu „Zośka” – doktor Witold Sikorski „Boruta”, żyje łączniczka Andrzeja – Krystyna Musiatowicz, której narzeczony poległ razem z Andrzejem. Jest pisana tuż po powstaniu relacja dowódcy batalionu – Ryszarda Białousa – „Walka w pozodze”. I żyje dowódca tej jedynej łodzi, która pierwsza przedarła się z Pragi na powstańczy brzeg – żołnierz I Samodzielnej Kompanii Zwiadowczej 1. Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki, harcerz 1 Wołyńskiej Drużyny Harcerzy im. Zawiszy Czarnego, wówczas podchorąży – Janusz Kowalski. Raniony ciężko prawdopodobnie przez tego samego snajpera niemieckiego, który zabił Andrzeja, operowany przez doktora Zygmunta Kujawskiego „Broma” – leżał w tej samej piwnicy co Jerzy Zborowski „Jeremi” i Wacek Dunin-Karwicki. Ofiarny, znakomity lekarz, który tysiącom matek i dzieci uratował życie – był witany entuzjastycznie na opłatku batalionu „Zośka” w roku 1985 przez wszystkich Zośkowców z doktorem „Bromem” na czele...

W książce Kamyka, w której tak, jak było naprawdę, Zośkowcy „ściskają mu serdecznie dłoń” – doktor Kowalski zakwestionował tylko przypisane mu przez Kamyka słowa: „Ja muszę do waszego komendanta, towarzysze”.

– Nikt z nas, żołnierzy, nie używał tego określenia „towarzysze”... Natomiast prawdą jest, że padliśmy sobie w ramiona z pierwszym Zośkowcem, który do mnie dobiegł. Jak bracia – powiedział mi doktor Kowalski.

I jest jeszcze jedno świadectwo śmierci Andrzeja. Matczyny pamiętnik pisany tuż po powstaniu i po odnalezieniu obu synów. „Chłopcy naszego domu rozbitego! Wiem jeszcze o Was wszystko i wszystko z Wami przeżywam. (...) Byliście naszą dumą i szczęściem. Iskra Boża rozpalala się w Was płomieniem, który promieniował i dał Wam tyle serc, przyjaźni ludzkiej i możliwość wnoszenia wszędzie tyle radości... (...)” – pisała Jadwiga Romocka. – Poszedłeś, Synu, sam zupełnie na rozpoznanie terenu i Bóg przyjął Twoją ofiarę za wszystkich – strzał w serce... «Jezus – Maryja!» Twój okrzyk ostatni zamyka Twe życie, a Jezus i Maria błogosławią Twą mękę Woli, Starówki i Czerniakowa, zsyłając taką śmierć, o jakiej pewno Synku marzyłeś w te najtrudniejsze dni...

I przyjm, o Boże, który widzisz wszystko – moje «Tak, Ojcze» za te nasze dzieci polskie”.

„MOI RÓWIEŚNICY W PANTERKACH”

Od roku 1995 ostatni żyjący żołnierze batalionu „Zośka” apelują do zmieniających się władz Ministerstwa Edukacji Narodowej o wprowadzenie na listę lektur książki Aleksandra Kamińskiego „Zośka i Parasol”. Młodzież w wolnej Polsce nie ma w lekturach ani jednej książki o bohaterstwie ich rówieśników w powstaniu warszawskim!

Runęły imperia. Zmieniły się ustroje. A siła obu książek Kamyka, promieniowanie jego bohaterów – trwają.

Mam dziesiątki listów od młodzieży (w epoce SMS-ów i e-maili), setki wpisów do ksiąg pamiątkowych Kamykowej wystawy. Żal, że można ich tu zacytować tak niewiele:

„Leżą teraz przysypani ziemią, już na zawsze dwudziestoletni. Moi rówieśnicy w panterkach, którzy umieli pięknie żyć i pięknie umierać. Odgarniamy ziemię, ocalajmy pamięć o nich, odnajdujemy tych, którzy przeżyli, niech nam pomogą znaleźć własną drogę we własnym kraju” – Ewa Szulik, licealistka z Rybnika.

„Dźwigali polski krzyż męczeństwa – a przecież nie różnili się od nas. Pragnęli kochać i być kochani, chcieli żyć... Dojrzewali tak szybko – do walki, czynu, ofiary – i niestety, do śmierci, nie do życia! Jak trudno zrozumieć pokorę, z jaką przyjmowali cierpienie, ich siłę i ogromną nadzieję, której nam często brak” – Anna Przewoźnik z Liceum im. Baczyńskiego w Krakowie.

„Co mam zrobić, aby Polska, o którą walczone, nie umarła. Nie chcę, by cierpienia moich rówieśników poszły na marne, chcę tak jak oni – aby POLSKA BYŁA, TRWAŁA I NIGDY NIE UMARŁA!” – Edyta Burzyńska z Liceum Ekonomicznego im. Jana Kochanowskiego w Częstochowie.

„Mam 17 lat i cieszę się każdym przypomnieniem mojej polskości. Jakże to ważne dla serca gubiącego się w świecie bieganiny, nerwów i coraz bardziej wszechwładnego pieniądza. Ale wierzę, że my, młodzi, nie zapomnimy, «skąd nasz ród»” – Marek Kazulak z Benewicz.

„Szare płaszcze, szare ulice i my, na których zarzucono te szare płaszcze, okrywające kolorowe skrzydła, właśnie my – tyle możemy. Możemy krzyknąć: – Jeszcze nie zginęłaś, póki my żyjemy, a my nie zginęliśmy, póki Ty żyjesz w nas!” – Dominika Makówka z Piotrkowa Trybunalskiego.

„Jesteśmy harcerkami-licealistkami, wiele myślimy o wartościach – o prawdzie, o wolności, o miłości. Chcemy wiarę w te wartości umacniać i sprawdzać. W historii Powstania nie szukamy tylko wydarzeń i dat – ale przede wszystkim Ludzi – z ich rozterkami, emocjami, cierpieniem. Myślimy o Powstaniu nie jak o wydarzeniu z historii Polski – ale jak o czymś żywym – o dramatach młodych ludzi, ich decyzjach, ich bohaterstwie, o tym, że Oni byli tacy jak my...” – Magda Magowska, Poznań.

„Za tydzień skończę 15 lat. To przecież taki «powstańczy» wiek. Tyłu wspaniałych ludzi, kwiat polskiej młodzieży, stanął murem w obronie swojego miasta, dając dowód, że jeszcze Polska nie zginęła. Z całego serca podziwiam Powstańców, tysiące bezimiennych bohaterów do ostatniej kropli krwi walczących i wierzących w Polskę. Jaka szkoda, że tak wielu z nich nie doczekało wolności, na pewno mogliby wpłynąć na losy Polski, przekazując dzieciom i wnukom wspomnienia i ideały tak ważne w dzisiejszym świecie, gdy często wartość człowieka ocenia się nie po tym, jaki jest, ale po tym, ile ma pieniędzy.

Młodzi ludzie obrażają Polskę, uważając, że patriotyzm to przeżytek, a na pytanie – co jest 1 sierpnia, odpowiadają – wakacje.

Odrzucanie swej historii to ignorancja i tchórzostwo, a nie – jak mniemają – tak modne «bycie trendy».

Bohaterowie Szarych Szeregów i Powstańcy Warszawy będą dla mnie zawsze wzorem, od nich się uczę szacunku do Ojczyzny i patrzę na swój kraj jak na coś najcenniejszego na świecie” – Ola Wierzba z Gimnazjum im. Ignacego Domeyki w Warszawie.

„Ich rozwaga, odwaga, odpowiedzialność, honor, przyjaźń są nieśmiertelne, zawsze będą to cechy ważne i godne młodzieży. Stanęli przed twardą próbą charakteru, odwagi, męstwa, wychodząc z niej zwycięsko.

Żyją po śmierci w nas, zostawiając po sobie «testament», dla nich pomnik, dla nas przesłanie. Wojna się skończyła, inne czasy, po cóż nam ono, ktoś pyta. Po to, byśmy umieli kochać szczerze, wierzyć w przyjaźń, mieć odwagę mówić to, co naprawdę myślimy, byśmy umieli brać odpowiedzialność za to, co robimy, mieli poczucie godności i honoru” – Krystian Łukasik, lat 16, Łódź.

„Teraz walczyć bronią się nie da, ale słowem i czynem. Jak wspomni mi się walka o wolność tylu Polaków wspaniałych, to łąza się w oku kręci, że teraz, chociaż wolna, tak daleka od ideału ich Polska. Nie mogę walczyć o nią jak oni, ale o język polski potrafię i będę” – Michał Bełdowski z Czarnocina.

„To takie ważne, by Oni wszyscy trwali w naszych sercach i umysłach, bo będą żyli, dopóki żyją w naszej pamięci. Moje zainteresowanie historią Szarych Szeregów i Powstaniem Warszawskim zaczęło się po przeczytaniu niezwyklej, wzruszającej i pouczającej książki, na szczęście lektury szkolnej – «Kamieni na szaniec» Aleksandra Kamińskiego. Wiele razy zastanawiałam się, dlaczego moi rówieśnicy musieli cierpieć, porzucić swoje marzenia, a nawet stracić życie. Skąd brali siłę, by znosić to wszystko. I myślę, że odpowiedź jest tylko jedna – z miłości do Ojczyzny! To była taka wspaniała młodzież, odważna i mądra. Słowo «Ojczyzna» nie było dla nich puste. Kochali Ją całym sercem i za nią umarli. Nie potrzebowali odrębnego przedmiotu w szkole, który nauczyłby ich patriotyzmu. Często zastanawiam się, czy gdy patrzą na nas teraz z góry, na to, co się dzieje w naszym kraju, nie cierpią prawie tak mocno jak wtedy. Nie o taką Polskę walczyli.

Czy my pamiętamy, że wolną Polskę mamy dzięki nim? Czy umiemy okazać im wdzięczność za ofiarę, jaką ponieśli? Moją pracę maturalną poświęciłam postaci Krzysztofa Kamila Baczyńskiego, wspaniałego poety-żołnierza. To on powiedział: «Trzeba nam teraz umierać, by Polska umiała znów żyć!». Oby wreszcie umiała znów żyć” – Iwona Zielińska, studentka Akademii Medycznej w Kielcach.

„Ja o Nich myślę jak o moich przyjaciółach, którzy ciągle istnieją gdzieś w czasie – i wierzę, że Oni wiedzą – że my też zrobimy wszystko prosto, zwyczajnie, jak trzeba” – Aneta Piskorz z Gorzkowic, lat 16.

„Oni koła ratunkowe nam rzucają – wierność i nadzieję” – Karolina Czerwińska, lat 15, Łódź.

„Tadeusz Gajcy, zanim poległ, powiedział do nas: «Jedna jest ziemia, która niesie ciebie i mnie, i jedna młodość». Krzysztof Kamil Baczyński, zanim poległ, powiedział do nas: «Trzeba nam teraz umierać, by Polska umiała znów żyć». Niestety – ciągle żyć nie umie. Jak napisał Druh Aleksander Kamiński lat temu prawie 80! «(...) czemu jej synowie tak chamsko wyzerają się o władzę?». Mam 23 lata. Ukończyłem wydział politologii i socjologii. Ciągłe dręczy mnie myśl – co moje pokolenie zdoła uczynić, by spełnić marzenia poległych, by «Polska umiała żyć...» – Marcin Brylczak, Poznań.

„Kamieniami na szaniec» interesuję się od zawsze. Jeździłam do Warszawy, wędrowałam szlakami «moich» chłopców. Na Powązki, gdzie zawsze w ciszy można się pomodlić i «porozmawiać» z nimi. Tak samo jak musiałam być 1 sierpnia – w rocznicę powstania. Zawsze strasznie żałowałam, że urodziłam się tak późno. Po jakimś czasie dotarło do mnie jednak, że każdy człowiek ma swój czas, w którym żyje. I w każdym można żyć pełnią życia, nie muszę «pięknie umierać», ale mogę «pięknie żyć», co przecież też jest wyzwaniem i też wymaga trudu i ogromnej pracy nad sobą. Oni są zawsze w moim sercu. Wartości, którymi żyli, wyznaczają i moje życie. Warto żyć dniem dzisiejszym, korzystając z wszystkiego, co życie daje, zawsze mając w sercu przeszłość. Ale ona nie ma nas zatrzymywać, nie chodzi o to, by tylko wspominać, wzruszać się. Ona ma budować nasze życie!” – Anna Strzelec, prawniczka, lat 26, Chorzów.

„Na ekranach naszych telewizorów króluje młodzież, za którą można się tylko wstydzić. Nie ma tam ani moich rówieśników, którzy walczyli o Polskę, ani tych, którzy dziś mogliby być dla nas wzorem do naśladowania. A przecież i dziś tacy młodzi są! Patrzyłem na tych, którzy podawali do zapalenia znicze żołnierzom «Zośki» i «Parasola» – na to połączenie duchowe pokolenia Kolumbów i pokolenia wchodzącego dopiero w życie... I myślałem – jaką drogą iść, co mamy robić, żeby te ich zamierzenia, których nie zdążyli zrealizować – stały się dzięki nam także Ich zwycięstwem?” – Rafał Zdrajkowski, lat 16, uczeń Szkoły Muzycznej w Łodzi.

„Przygnębienie, wzruszenie, ale i radość – oto uczucia towarzyszące mi. Patrząc na te śliczne, roześmiane, pełne energii i chęci do życia twarze, myślałam – przecież to byli moi rówieśnicy. Mieli przed sobą najpiękniejsze lata. Zginęli. Ocalała ich garsteczka, siedzieli w PRL-owskich więzieniach, wyszli... Jacy? Oglądałam ich dyplomy z najwyższymi notami. Lekarze, architekci, na-

uczyciele, historycy. Skąd brali moc? Bardzo chciałabym Ich spotkać, zapytać?” – Sylwia Fink, uczennica Szkoły im. Zamoyskiego w Zakopanem.

„Zośka, Rudy, Alek, Andrzej Morro – to postaci, które przez całe moje życie będą wskazywać mi drogę. Ich krótkie, lecz jakże piękne życiorysy – to dla mnie wzór postępowania, a wypracowane przez Nich wartości, poczynszy od codziennej pracowitości, sumienności i pogodnego uśmiechu do braterstwa, bohaterstwa czy przede wszystkim gorącego umiłowania Ojczyzny, stały się moimi ideałami. To dzięki Nim poczułam się dumna, że jestem Polką, Ich rodaczką, że matką nam – ta sama ziemia, Polska.

Pisząc o Nich, chciałabym unikać wzniosłych słów (choć nie umiem), bo przecież przy swojej wielkości byli Oni tacy skromni i tacy zwyczajni. I ci zwykli młodzi ludzie potrafili trwale wyrycić imiona na kartach historii, a przede wszystkim pięknie zapisać się w pamięci pokoleń – w pamięci Ich rówieśników, moich rówieśników i wierzę, że i tych, którzy nadejdą” – Agnieszka Bryś, studentka polonistyki, Poznań.

„W moim dorastaniu, kształtowaniu charakteru i pasji towarzyszą mi prawie od początku... Przyjaciele, bo nie umiem Ich już inaczej nazywać, żyjący przede mną. Wywarli na mnie wielki wpływ... Są ze mną bez przerwy, choć daleko, to jednak tak blisko... Oni wskazali mi ścieżkę życia. Alek, Rudy, Zośka, Andrzej i Janek Romoccy, Maciek, Piotr Pomian, Czarny Jaś towarzyszą mi i prowadzą, odkrywam nowe fakty z Ich życia, nowe zapisy z Ich myśli, które zmuszają do refleksji, kształtują charakter, gdy wracam do lektury Kamykowych książek...” – Agata Bogiel, studentka skandynawistyki, Gdynia.

„Podobno autor «Zośki i Parasola» miał napisać jeszcze jedną książkę – o tych bohaterach «Zośki», którzy przeżyli... Jaka szkoda, że nie zdążył. Chciałbym Ich wszystkich poznać!” – Piotr Maczkowski, Szczecin.

To prawda. Aleksander Kamiński myślał o takiej książce. Przygotowaniem do niej była ankieta, którą rozesłał do ocalonych Zośkowców już w styczniu 1959 roku. Jej podsumowanie znalazło się w rozprawie „Powojenne losy żołnierzy Batalionu «Zośka»”, która czekała na zezwolenie druku... lat dwa naście, do roku 1971!

Od siebie dodam z goryczą, że kiedy już w wolnej Polsce usiłowałam zrealizować o Nich film telewizyjny, otrzymałam odpowiedź z 1 Programu TVP, iż „na tę tematykę nie ma pasma i nie ma pieniędzy”.

A dziś już wielu spośród Nich nie ma, zagasają, odchodzą...

Najwspanialszy ludźmi naszej epoki. Pięć lat okupacji, sześćdziesiąt trzy dni powstania, lata więzienia w PRL-u. Nie załamali się. Nie uciekli z Polski. Nie popadli w nałogi. Wspaniale ukończyli studia. Stali się znakomitymi lekarzami (Witold Sikorski „Boruta”, Kazimierz Łodziński „Markiz”, Jerzy Waleszkowski „Ali”), architektami (Stanisław Lechmirowicz „Czart”), inżynierami (Bogdan Celiński „Wiktor”, Włodzimierz Steyer „Grom”, Wiktor Matulewicz „Luxor”, Witold Bartnicki „Kadłubek”, Tytus Karlikowski „Wąż”, sława europejskiego leśnictwa), fotografikami (Tadeusz Sumiński „Leszczyc”), instruktorami harcerskimi (niestrudzony Staszek Sieradzki „Świsł”, którego kocha cała harcerska Polska), prawnikami (Lidka Ziental), farmaceutami (Ula Katarzyńska), historykami-naukowcami (Zofia Stefanowska, Hanka Borkiewicz-Celińska)... To tylko garstka z garstki. Wszyscy – dosłownie wszyscy zaiste reprezentują Polskę godną szacunku!

W czerwcu 1966 roku powołali Środowisko Żołnierzy Batalionu „Zośka”, odnaleźli wszystkich żyjących i rodziny poległych. Roztoczyli wzajemną opiekę: przyjacielską, zdrowotną, bytową. Dokumentowali czyny wojenne i powstańcze. Ustalili, że batalion „Zośka” liczył pięćset pięćdziesięciu sześciu żołnierzy (dziewcząt i chłopców), z czego w akcjach, obozach i powstaniu zginęło czterystu pięćdziesięciu trzech. Ustanowili odznakę Batalionu „Zośka” wręczaną bliskim poległych na uroczystych kominkach. Stali się synami dla samotnych matek, towarzysząc im często do ostatnich chwil.

W roku 1988 stworzyli Społeczny Komitet Opieki nad Grobami Poległych Żołnierzy Batalionu „Zośka”, kontynuując swą od lat prowadzoną akcję dbałości o ten niezwykle pomnik pamięci – rzędy mogił w lesie białych brzoźowych krzyży, jedynych, jakie zostały na powstańczych kwaterach. Utrzymują stały kontakt ze szkołami noszącymi imię Batalionu i imiona jego bohaterów. Uczestniczą w zlotach i rajdach.

1 Pułk Komandosów w Lublińcu przyjął uroczystie dziedzictwo batalionu „Zośka”.

Pisał Kamyk z żalem w „Wielkiej grze”: „Łatwiej u nas o wielkie czyny w chwilach zapału – niż o wytrwałość i codzienne «bohaterstwo» przy znoszeniu trudnych obowiązków. Łatwiej u nas umrzeć dla Ojczyzny, niż ofiarnie dla niej żyć”.

Oni połączyli pietyzm dla przeszłości z wzorem życia w terażniejszości. Umieli za Polskę walczyć. Umieją dla niej żyć. Są żywym zaprzeczeniem gorzkiej konstatacji Norwida, że Polak w Polaku to olbrzym, lecz człowiek w Polaku to często karzeł. Udowodnili swym życiem, że i człowiek w Polaku może być olbrzymem.

* * *

Aleksandrowi Kamińskiemu i jego Bohaterom poświęcony jest pięciotomowy cykl Barbary Wachowicz „Wierna rzeka harcerstwa”. Powstała z myślą o nich wystawa znajduje się w gestii Muzeum Historycznego m.st. Warszawy (Rynek Starego Miasta 28, 00-272 Warszawa).

O autorze

Aleksander Kamiński – mój Ojciec – znany jest przede wszystkim jako autor „Kamieni na szaniec”, słynnej opowieści o podziemnej walce harcerzy „Szarych Szeregów”. „Zośka i Parasol” miała być drugą częścią zamierzonej trylogii, Ojciec myślał bowiem jeszcze o trzecim tomie, poświęconym powojennym losom bohaterów.

Podczas okupacji napisał także „Wielką grę” (1942), która była podręcznikiem dla konspiratorów, i „Przodownika” (1944) – przeznaczonego dla kierowników oddziałów „Zawiszy”. Był też przez pięć lat naczelnym redaktorem „Biuletynu Informacyjnego”, który – jako tygodnik, a w okresie Powstania Warszawskiego dziennik – osiągnął najwyższy nakład wśród pism wojennej Europy.

Najczęściej mówi się i pisze o ówczesnych dokonaniach mego Ojca. Są one najlepiej znane. We wrześniu 1939 roku przyjechał ze Śląska do Warszawy, by wziąć udział w jej obronie, a po kapitulacji zaczął organizować harcerskie podziemie. Wkrótce powstała kierowana przez Niego organizacja „Wawer”. Ojciec był duchowym przywódcą i wychowawcą „Szarych Szeregów”, od kwietnia 1941 roku szefem Okręgu Warszawskiego Biura Informacji i Propagandy AK oraz referentem kontrwywiadu Oddziału II Komendy Głównej ZWZ AK.

W jaki sposób ukształtowały się Jego losy i postawa? Co sprawiło, że Jego celem była służba: Polsce, społeczeństwu, harcerstwu, słabym i prześladowanym, nauce? Czemu zawdzięczał niezwykły talent organizacyjny i twórczą aktywność w każdym okresie życia?

Urodził się w Warszawie 28 stycznia 1903 roku. Jego ojciec był farmaceutą, matka przywędrowała do Warszawy spod Łęczycy. Na rodzinnych fotografiach widoczne jest raczej podobieństwo do matki. Dzieciństwo zakończone zostało wyjazdem rodziny do Kijowa i wczesną śmiercią ojca. Aleksander miał wtedy osiem lat. Mógł skończyć tylko czteroklasową szkołę elementarną i musiał – jako dwunastoletni chłopiec – podjąć pracę, aby pomóc matce. Został gońcem w banku. Wyniósł stamtąd ważną umiejętność pisania na maszynie.

Kiedy miał niecałe czternaście lat, nastąpiło rozstanie z matką. Pogubili się w czasie podróży, przesiadając się na jakiejś większej stacji w Rosji czy na Ukrainie, gdy wokół szalała rewolucja. Stracił wówczas matkę z oczu na pięć lat. Od-

najdzie ją dopiero jako osiemnastoletni młodzieniec. Tymczasem został zupełnie sam. Wuj, u którego początkowo mieszkał, zamordowano. On sam zaś ocalał, bo nie było go w tym czasie w domu.

W Humaniu wszedł w polskie środowisko harcerskie. Tu znalazł serdecznych przyjaciół i drużynę, która stała się jego rodziną. W tym właśnie czasie, gdy formował się jego charakter, gdy wyznaczał sobie cel i budował system wartości, żył życiem harcerza polskiego na obczyźnie. Ideały organizacji stały się jego ideałami, a tęsknota za Polską zmieniała się stopniowo w gorący patriotyzm. Czytał Mickiewicza i Słowackiego, ale przede wszystkim chłonał trylogię Sienkiewicza. W niej znajdował bohaterów godnych naśladowania. Znakomita opiekunka Biblioteki Polskiej w Humaniu, serdecznie zainteresowana zdolnym i inteligentnym chłopcem, kształtowała Jego serce i umysł.

Był sprawny, silny, szybki, zaradny, wesoły; Jego sposobem na życie było uporczywe doskonalenie się, umacnianie charakteru, silnej woli, inicjatywy. Umiał zorganizować wyręb lasu, by ogrzać szkołę i internat, obronić prawosławnego popa przed napaścią bolszewików, wyciągnąć z wody topielca, zarabiać kopaniem grobów i wyrobem cukierków. Jego pierwszą podziemną organizacją stało się rozwiązane w 1920 roku przez bolszewików humańskie gniazdo harcerskie.

W lutym następnego roku opuścił Humań i nielegalnie, pod ostrzałem, przekroczył granicę Polski, by rozpocząć – uwięczone powodzeniem – poszukiwania matki.

Po przyjeździe do Polski pracował i mieszkał w Pruszkowie w bursie dla chłopców. W 1922 roku zdał maturę, wstąpił na uniwersytet. Studiował historię i archeologię. Pracę magisterską – o bałtyckim plemieniu Jadźwingów podbitym w XIII wieku przez osadników z Mazowsza – napisał w 1928 roku. Przez cały ten czas działał w harcerstwie: był komendantem hufca pruszkowskiego, organizował obozy i kursy, wizytował drużyny; wreszcie został harcmistrzem. Pisał opowiadania i artykuły do „Znicza”, „Iskier”, „Płomyka”, „Wychowawcy”, „Harcmistra” i „Na tropie”. Wciąż stawiał sobie wysokie wymagania, hartował wolę i charakter, ulepszał organizację dnia, podejmował kolejne zadania, zdobywał nowe umiejętności. Notatki z tego okresu pokazują, jak kontrolował realizację zamierzeń, oceniał zaniedbania i sukcesy. Tych ostatnich było więcej.

Dwa etapy życia zaważyły na Jego sylwetce. Pierwszy – humański – gdy wstąpił do harcerstwa i całkowicie zidentyfikował się z jego systemem wartości.

Drugi – pruszkowski – kiedy to intensywnie i wszechstronnie rzeźbił swą osobowość. Wówczas to w kontaktach z przyjaciółmi, w dyskusjach zrodził się cel życia: służba.

Po studiach w 1930 roku ożenił się z harcerką z Pruszkowa, studentką historii i archeologii. Razem podróżowali po Francji, urządzali dom. W tym czasie Aleksandra powołano do wojska. Tam właśnie zaczęły się kłopoty ze zdrowiem: zaziębienie i ostry atak gruźlicy (na tę chorobę wcześniej zmarła Jego matka), która odąd będzie towarzyszyć Mu nieprzerwanie, niszcząc płuca i nerki, osłabiając serce. Pobyty w szpitalach i sanatoriach, operacje staną się nieodłącznym elementem życia mego Ojca. Ataki choroby przypadały zwykle na okresy innych klęsk, politycznych i osobistych. Lekarze zdumiewali się, że człowiek pozbawiony poważnej części płuc i jednej nerki mógł tak intensywnie działać i nieprzerwanie pracować.

W latach 1933–1939 organizował i prowadził kursy dla kadry harcerskiej w Brennej, Nierodzimiu i Górkach Wielkich na Śląsku Cieszyńskim. To tam odbywały się niezapomniane kominki i obozy. Tam ładowały się energią i ideami umysły instruktorów z całej Polski, a także z zagranicy. Uczestnicy kursów wiąza- li się na zawsze całym sercem z góreckim ośrodkiem i jego komendantem – druhem Kamińskim „Kamykiem”.

W tym właśnie czasie opracowywał On koncepcję systemu zuchowego. Opierając się na doświadczeniach angielskich „wilcząt”, obmyślał cykle zabaw sprawnościowych, dostosowanych do wyobraźni polskich dzieci, tworzył nawet piosenki i tańce. W Górkach odbywały się pierwsze próby tych gier i zabaw, tam też powstała zuchowa trylogia-instruktaż: „Antek Cwaniak”, „Książka wodza zuchów”, „Krag Rady”. Aleksander pamiętał ze swoich lat dziecińczych, jak ważne jest, by chłopiec znalazł prawdziwych przyjaciół, by mógł się bawić w gromadzie rówieśników, by uczył się odwagi. Toteż jeden z najważniejszych punktów prawa zuchowego brzmiał: „Zuch jest dzielny”. Lata góreckie to najszczęśliwsze czasy w życiu „Kamyka”.

W końcu lat trzydziestych Aleksander wcielił swą metodę w życie. Kilka klas szkoły w Mikołowie koło Katowic było polem doświadczalnym. Wyniki okazały się rewelacyjne.

Kiedy 1 września 1939 roku wybuchła wojna, Ojciec wsiadł na rower (transport kolejowy zdeorganizowany, auta nie było) i pojechał do stolicy. Wziął

udział w obronie Warszawy, a po kapitulacji zorganizował pierwsze formy podziemnego oporu. Już 27 września wraz z gronem instruktorów harcerskich postanowił nie przerywać pracy i przygotowywać się do walki zbrojnej. Powstały „Szare Szeregi”. Jako komendant szkoły górskiej był znany większości instruktorów i cieszył się ogromnym zaufaniem i autorytetem, co znakomicie ułatwiało Mu tworzenie sieci kontaktów i organizowanie grup konspiracyjnych. Będąc członkiem „Pasiaki” – Kwatery Głównej „Szarych Szeregów”, nie zaniedbywał wychowawczej funkcji podziemnego harcerstwa, kwestii kształcenia, budowy wizji przyszłej Polski.

W listopadzie zaczął wydawać „Biuletyn Informacyjny”, którego był inicjatorem i naczelnym redaktorem. Zdawał sobie sprawę, że ma w ręku broń silniejszą niż karabin – słowo. Musiało ono wspierać w razie klęski, ale i ostrzegać przed bezpodstawną nadzieją. Prawdziwa informacja musiała dotrzeć wszędzie, do najodleglejszych zakątków. „Biuletyn” stał się najpopularniejszą gazetą konspiracyjną w Polsce, a jego nakład dochodził do 47 tysięcy. Był to fenomen organizacyjny: gazeta wychodziła zdumiewająco regularnie, zawierała światowy serwis informacyjny, wieści przywożone przez kurierów z całego kraju. Artykuł wstępny pisał z reguły Ojciec. Celem „Biuletynu” było podtrzymywanie ducha polskiego, piętnowanie szmalcowników i szabrowników, obrona słabych, a wśród nich Żydów.

W grudniu 1940 roku powstał „Wawer”. Aleksander był jego twórcą i komendantem. Przez akcje małego sabotażu i uliczną propagandę „Wawer” pobudzał polskie społeczeństwo do oporu wobec okupanta. „Kamyk” osobiście uczestniczył w pierwszej serii tych akcji. Jako szef konspiracyjnych organizacji wymagał wiele od siebie i od innych. Przede wszystkim żelaznej punktualności i słowności, a także inwencji. Należało unikać zbędnych kontaktów towarzyskich, dochowywać tajemnicy, nie zdradzać szczegółów działania nawet najbliższej osobie, być rozważnym i zdyscyplinowanym. Każda lekkomyślność groziła więzieniem i śmiercią.

Pisał o tym w „Wielkiej grze”, zalecając młodym ludziom pracę nad charakterem i samokształcenie. Książka była podręcznikiem konspiratora, toteż – wydana przez tajne Wojskowe Zakłady Wydawnicze w 2 tysiącach egzemplarzy – została na polecenie Komendy Głównej AK natychmiast wycofana i zniszczona. Obawiano się, że umożliwi Niemcom rozszyfrowanie metod

działania podziemnych organizacji. Zachowało się zaledwie kilka egzemplarzy.

W podziemiu używał pseudonimów: „Każmierczak”, „Faktor”, „Fabrykant”, „Hubert”. Często zmieniał nazwiska i mieszkania. Ci, którzy stykali się z Nim w latach okupacji, podkreślają Jego niesłychany talent organizacyjny, dar przewidywania, pomysłowość. „Biuletyn”, który wychodził nieprzerwanie przez pięć lat, nie miał ani jednej wpadki. A przecież była to ogromna machina, również techniczna i kolportażowa.

Ojciec, stale się ukrywając, nie mógł mieszkać z rodziną. Początkowo wraz z Nim zmienialiśmy adresy, jednak po fali aresztowań jesienią 1941 roku nastąpiło rozstanie. Tylko krótkie miesiące wakacyjne spędziliśmy razem.

Kiedy wybuchło powstanie, Ojciec zajął się przede wszystkim „Biuletynem”, który stał się wówczas dziennikiem Komendy Głównej AK. Wydawany był od 1 sierpnia do 4 października 1944 roku, kiedy to po ogłoszeniu kapitulacji powstańcy wzięci do niewoli wymaszerowali z miasta.

Po upadku powstania Ojciec znalazł się u rodziny w Skierniewicach, a od wiosny 1945 roku rozpoczął pracę na uniwersytecie w Łodzi na katedrach pedagogiki społecznej i ogólnej.

Nowa sytuacja polityczna – przegrana Armii Krajowej związanej z rządem polskim na emigracji – i represje ze strony władzy nakazywały odsunięcie się od działalności harcerskiej i politycznej. Ojciec zerwał kontakty z organizacją, która w latach 1949–1950 została przekształcona w dziecięcą i młodzieżową przybudówkę ZMP i partii. Aresztowania, procesy i wyroki, jakie dotknęły akowców w latach 1948–1956, ominęły Aleksandra. Nie ominęły Go jednak represje: był stale pod obserwacją Urzędu Bezpieczeństwa, wzywany na przesłuchania do Warszawy i „odwiedzany” w łódzkim domu. (Usiłowano nawet wprowadzić agenta UB do mieszkania rodziców). Z początkiem 1950 roku został usunięty z uniwersytetu i przez siedem lat pozostawał bez pracy, otrzymując niską rentę chorobową. Na uczelnię powrócił dopiero w 1958 roku. Z łódzką katedrą pedagogiki społecznej związany był aż do emerytury (1973).

W 1947 roku uzyskał stopień doktora filozofii na podstawie pracy pt. „Metoda harcerska w wychowaniu i nauczaniu szkolnym”, w której wykorzystał doświadczenia przedwojennego eksperymentu szkolnego w Mikołowie. W okresie bezrobocia zajął się historią i teorią polskich związków młodzieży od XVIII wie-

ku. Kiedy powrócił na uniwersytet, praca ta stała się podstawą habilitacji w 1959 roku. W trzy lata później objął kierownictwo katedry pedagogiki społecznej, a w 1969 roku został mianowany profesorem.

Pasjonowały Go zwłaszcza sprawy środowiska społecznego samorządów uczniowskich, kultura spędzania wolnego czasu. Analizę teoretyczną powstania w Polsce różnorodnych związków młodzieży uważał za swoje wielkie odkrycie. Zajął się również geriatrią – nauką o starości, zwłaszcza zaś przygotowywaniem ludzi do przyjęcia i jak najlepszego przeżycia starości.

Jako wychowawca nie był moralizatorem. Zachęcał do pracy nad sobą i do dzielności zarówno siedmioletnich chłopców, jak i osoby starsze. Zachęcał do aktywności, do wierności wartościom. Pisał też o ludziach godnych naśladowania, przede wszystkim o harcerzach, którzy „na śmierć idą po kolei, jak kamienie przez Boga rzucane na szaniec”.

Książką o nich jest właśnie „Zośka i Parasol”. Zamiar napisania dalszego ciągu „Kamieni” zrodził się zapewne w czasie powstania, choć może i wcześniej. Po śmierci „Zośki”, „Rudego” i „Alka” ich przyjaciele i podkomendni nazwali pseudonimami poległych dowódców swoje oddziały. Powstał więc batalion „Zośka”, kompania „Rudy” i pluton „Alek”. Było to wyrazem woli, by ci koledzy i dowódcy żyli dalej, byli wciąż w walczących oddziałach. Ojciec zrozumiał tę intencję.

Zbieranie materiałów do książki rozpoczął bardzo wcześnie, bo już w 1946 roku. Walka i upadek powstania były wciąż jeszcze żywe w obrazie miasta i w pamięci tych, którzy przeżyli. Kamiński zbierał dokumenty i relacje. Najcenniejszym unikatowym źródłem było archiwum Jana Rodowicza „Anody”, który gromadził, porządkował i komentował materiały, sporządzał notatki i zachęcał do tego innych, słowem – był prawdziwym biurem historycznym. Aresztowany przez Urząd Bezpieczeństwa, został zamordowany w śledztwie 6 stycznia 1949 roku. Archiwum zaginęło na kilka lat, a Ojciec zaniechał wówczas pracy nad książką.

Pod koniec Jego przymusowej bezczynności zawodowej, gdy po śmierci Stalina rozpoczął się okres odwilży – odżyła myśl o książce. Przyjaciele i szarozeregowcy pytali o nią, dopominali się i ponagłali.

W styczniu 1956 roku redaktor „Iskier”, Ryszard Wasita, przyjechał do Ojca do Łodzi i rozpoczęły się rozmowy o wydaniu nowej opowieści, poświęco-

nej walce żołnierzy „Szarych Szeregów”, przede wszystkim w powstaniu. Jednocześnie Stanisław Broniewski „Orsza” sygnalizował z Warszawy, że przechowało się wiele ważnych materiałów, zdjęć i wspomnień. Środowisko akowskie uważało, że trzeba publicznie ujawnić prawdę o powstaniu i walczącej w nim młodzieży, aby ofiara jej życia pozostała w pamięci i nie była daremna.

W dodatku zdarzył się najprawdziwszy cud: odnalazło się archiwum „Anody”. Przekazywane z rąk do rąk przez rodzinę i bliskich, a po śmierci Rodowicza ukrywane, przenoszone z miejsca na miejsce, do biur i mieszkań, dotarło w pewnym momencie do rąk pani Marii Paszkowicz, bibliotekarki z Humania, zaprzyjaźnionej z moim Ojcem. Wiedząc, że zamierza On pisać książkę, zawiadomiła go o swoim znalezisku. Odpowiedział: „Pragnę Pani bardzo gorąco podziękować za pomoc w zdobyciu materiału źródłowego. Gdybym miał sposób myślenia metafizyczny, uważałbym Pani inicjatywę za cud. Ja te materiały miałem w ręku w latach 1946–1947, porobiłem nawet wyciągi z niektórych wspomnień (niestety zbyt zwięzłe), ale gdy teraz usiłowałem te materiały odszukać – próby nie dawały żadnego wyniku. Raz jeszcze dziękuję za niezwykle szczęśliwe pośrednictwo”.

Książka ukończona została w grudniu 1956 i wydana przez „Iskry” we wrześniu następnego roku.

„Zośka i Parasol” to opowieść inna niż „Kamienie na szaniec”, które pisane były jak w gorączce, w ciągu kilku tygodni, z żarliwej potrzeby serca i dla pokrzepienia serc. Nowa książka powstawała powoli w dziesięć lat po opisywanych wydarzeniach, na podstawie wspomnień, pamiętników, dokumentów i innych materiałów, z dbałością o wierność szczegółów. A także – z niezatarłym obrazem tamtych dni, z żywą pamięcią o tylu dzielnych dziewczętach i chłopcach, którzy polegli, z niesłabnącym bólem przegranej.

Druh „Kamyk” został przyjęty po śmierci przez swych bohaterów. Jego grób włączono do kwatery batalionu „Zośka” na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach. Ojciec spoczął pod takim samym brzoźowym krzyżem, jaki stoi na mogiłach „Zośki”, „Rudego”, „Alka” i innych harcerzy z „Szarych Szeregów” pełniących wieczną wartość.

Ewa Rzetelska-Feleszko

Warszawa, grudzień 1993

Od autora

Autor nie jest powieściopisarzem, a książka, którą czytelnik otrzymuje – nie jest powieścią.

„Zośka i Parasol” stanowi relację o zdarzeniach prawdziwych, o ludziach prawdziwych, o sytuacjach rzeczywistych. Jednakże opowieść ta nie jest opracowaniem historycznym. Nie tylko dlatego, że autor niektóre sytuacje odtwarza plastycznie i świat uczuć traktuje podobnie jak świat zdarzeń zewnętrznych, a bohaterowie opowieści czują i przemawiają tak, jak tego jedynie wolno się było domyślać. Autor usiłował wprawdzie jak najwierniej odtworzyć rzeczywistość na podstawie własnych wspomnień i sprawozdań tych uczestników walk, którym los dał doczekać chwili obecnej, ale nie miał ani zamiaru, ani możliwości ściśłego i pełnego przedstawienia dziejów „Zośki” i „Parasola”. Zamiarem autora było ukazanie człowieka, który był uczestnikiem walk obydwu batalionów, ukazanie młodzieży polskiej w latach okrutnej wojny i okupacji, ukazanie ludzi postawionych wobec najtrudniejszych prób charakteru i prób wierności najwyższym wartościom.

Młodzież „Zośki” i „Parasola” nie stanowiła grupy wyjątkowej pod względem ofiarności i bohaterstwa wśród jakże licznych oddziałów Armii Krajowej i innych grup walczących. Polska młodzież w tym ciężkim okresie ujawniła bardziej niż kiedykolwiek swe wartości. Jednakże młodzi ludzie „Zośki” i „Parasola” swoją walkę i służbę pojmowali szerzej niż niektóre inne oddziały ruchu zbrojnego: pragnęli służyć krajowi „dzisiaj, jutro i pojutrze”, aby w życie polskie wprowadzać ideały braterstwa i bezinteresownej, ofiarnej służby oraz postawę świadomego obywatela, dźwigającego z własnej chęci współodpowiedzialność za losy narodu i państwa podczas wojny i pokoju. Dążenia te realizowane były w walce z wrogiem oraz w walce z własnymi słabościami i błędami.

Autor z konieczności szerzej przedstawia tylko kilka sylwetek spośród wielu setek żołnierzy „Zośki” i „Parasola”, z których prawie każdy zasługiwałby na wspomnienie, oraz opisuje tylko główne akcje dywersyjne i najważniejsze walki powstańcze obydwu batalionów. Opracowanie historii tych batalionów powinno dać pełnię prawdy, ukazać liczniejsze sylwetki żołnierzy i wszystkie ich prace.

Łódź, 1956

CZEŚĆ PIERWSZA
W dywersji

I. Batalion „Zośka”

Zośka to imię wojenne Tadeusza Zawadzkiego. Był w czasach okupacji niemieckiej przywódcą zespołu harcerskiego, który zasłynął w Warszawie z akcji małego sabotażu i dywersji. Narodziny tego zespołu sięgają początków okupacji.

Późną jesienią 1939 roku harcerze 23. Drużyny Warszawskiej związali się najpierw z Polską Ludową Akcją Niepodległościową, potem byli łącznikami w komórce konspiracyjnej zajmującej się kontaktowaniem więźniów politycznych ze światem zewnętrznym za pomocą grypsów. Od 1941 roku wykonywali akcje małego sabotażu w ramach organizacji „Wawer”. Od listopada 1942 roku ukształtowali się – jako Grupy Szturmowe – w oddział dywersji. Przez cały czas dowódcą tej młodzieży był Tadeusz Zawadzki. Ze względu na rysy twarzy i delikatność koledzy nazywali go Zośką. Z biegiem czasu dowodzenie Zośki przekroczyło ramy macierzystej drużyny – w Grupach Szturmowych znalazła się także starsza młodzież innych drużyn harcerskich Warszawy oraz niewielka liczebnie organizacja „Przyszłość”, zwana krótko „Pet” (od greckiej nazwy pierwszej litery). Pet wywodził się z dawnego polskiego związku młodzieży szkół średnich, zajmującego się samokształceniem. W okresie okupacji warszawska organizacja Petu złączyła się z harcerstwem. Oto jaki był rodowód warszawskich Grup Szturmowych.

Wiosną 1943 roku aresztowano najserdeczniejszego przyjaciela Zośki – Rudego. Zośka postanowił wraz ze swymi towarzyszami ocalić przyjaciela – było to słynne odbicie pod Arsenalem więźniów odwożonych z gestapowskiego śledztwa do więzienia na Pawiak. Rudego odbito, lecz krótkotrwała była radość: potwornie skatowany zmarł w kilka dni po oswobodzeniu, a równocześnie odszedł w zaświaty ciężko ranny w akcji pod Arsenalem drugi przyjaciel Zośki – Alek.

Co czuł Zośka po stracie Rudego i Alka – zbyteczne mówić. Walczył jednak dalej z wrogiem na czele swoich Grup Szturmowych. Aż oto w sierpniu 1943 roku, przełamując impas potyczki pod Sieczychami, dał wprawdzie swemu oddziałowi zwycięstwo, ale sam otrzymał kulę w pierś. Śmiertelną.

Trójka przyjaciół – Zośka, Rudy i Alek – dostąpiła rzadkiego przywileju: żyła jeszcze przez pewien czas także po śmierci, choć w swoistej postaci. Mówić będzie o tym nasza opowieść.

Piaszczystą mazowiecką drogą wlecze się zaprzęgnięty w jednego konia chłopski wóz. Na nim – stygnące ciało dowódcy wyprawy na Sieczychy, Zośki. Dookoła wozu idą w milczeniu jego towarzysze. Mrok sierpniowej nocy rzędzie, na wschodzie niebo nabiera tonów jasnoniebieskawych. Idą przygarbieni, poszarzali, z rękami na deskach wozu, na kłonicach, na uprzęży konia. Gdy teren się wznosi, natężają mięśnie, aby dopomóc koniowi. Mijają pola i laski świerkowe. Andrzej Morro ostrożnie unosi głowę poległego, moszcząc ze słomy wgłębione podwyższenie. Gdy blade światło pozwoli wyraźnie dostrzec szczegóły, Długi zdejmie kurtkę i przykryje nią pierś Zośki.

Wiadomość o tym, że Zośka poległ, w ciągu kilkudziesięciu godzin obiegła w Warszawie wszystkich jego przyjaciół i bliskich. Przejmujący ból i ostry niepokój szarpał serca. Zdawało się, że jakaś katastrofa zawiśła nad braterską gromadą młodych ludzi. Przecież zginął ktoś, do kogo się tak bardzo garnęli, kto urzeczywistniał to wszystko, do czego tęsknili, czego pragnęli, co było ich marzeniem.

Komendant Warszawskiej Chorągwi Szarych Szeregów powiadomił oddziały o śmierci Zośki specjalnym rozkazem:

Zośka, komendant Grup Szturmowych Wisły, nie żyje. Zginął śmiercią zwykłego żołnierza, choć żołnierzem był niezwykle. Łączył w sobie wysoki talent organizacyjny i rzadko spotykany realizm pracy z nieprzeciętnym poziomem ideowym. Na tych cechach swego charakteru budował i tworzył nowy styl pracy wojskowej i harcerskiej.

Wobec tak bolesnego ciosu wszelkie słowa, wszelkie zewnętrzne oznaki uczczenia Zośki są niczym. Istotna treść wewnętrzna naszej o nim pamięci polegać musi na niez mordowanym i nieustannym wysiłku, aby do zwycięskiego końca doprowadzić to dzieło, które on – nasz druh, przyjaciel i dowódca – wspólnie z nami zaczął i prowadził.

Przez Boga na wieczną wartość powołany, nie będzie dzieła tego z nami kończył. Duch jego czujny za życia – teraz straż wieczystą nad nami pełnić będzie.

Zarządzam, aby od dnia dzisiejszego począwszy przez dwa tygodnie wszystkie odprawy w Ulu Wisła rozpoczynały się jednogminutową ciszą dla uczczenia jego pamięci... Cz! B. Prawdzic hm.

Przez dwa tygodnie na kilkuset zbiórkach warszawskich Szarych Szeregów najpierw – jak nakazał rozkaz – minutowa cisza. A potem – już bez rozkazu – modlitwa i krótkie uwagi o tym, który poległ.

Śmierć Zośki zamknęła pierwszy okres dziejów szaroszeregowych Grup Szturmowych. Zaczynał się nowy okres. Omawianie i przygotowywanie reorganizacji rozpoczęto jeszcze za życia Zośki. U jej podstawy leżały tendencje wojska do ujednoczenia organizacyjnego oraz rozrost Grup Szturmowych. Liczyły one obecnie około trzystu ludzi. Dowodzenie takim zespołem w warunkach konspiracji stawało się uciążliwe.

Odejście Zośki przyspieszyło bieg rzeczy. Wszystkie warszawskie oddziały Grup Szturmowych, dotychczas podzielone na zastępy, drużyny i hufce, zostały skupione w trzech kompaniach. Dwie z tych kompanii utworzyły batalion. Trzecia została wydzielona do zadań specjalnych – do walki z gestapo. Kompanie składały się z plutonów, plutony – z drużyn. Dowódcą batalionu został harcmistrz-porucznik Jerzy. Dowódcą kompanii wydzielonej kapitan Pług, współpracujący z Grupami Szturmowymi od początku dywersji, jeden z wybitniejszych oficerów Kedywu. Pozostałe stanowiska oficerskie i podoficerskie obsadzono wyłącznie przez najbardziej zdolnych dowódców Grup, dotychczasowych hufcowych i drużynowych Szarych Szeregów.

Początkowo nie doceniano potęgi tkwiącej w tradycyjnych, przez stulecia kształtowanych formach. To nie tylko nowe nazwy przyszły na miejsce nazw dawnych, to młodzież Grup Szturmowych została objęta – jakże początkowo delikatnie i nieznacznie – przez jedną z najstarszych i najbardziej zwartych instytucji, przez wojsko.

W tym okresie dowódcy Grup Szturmowych uczynili na pół świadomie krok mający wzmocnić oddziaływanie na przyszłe, nowe życie Grup wszystkiego tego, co było w dotychczasowym ich dorobku dobre i wartościowe. Nowo utworzony batalion został jakby zespolony z osobą Zośki, stał się batalionem „Zośka”.

Inicjatywa wyszła od dwóch Andrzejów: Długiego i Morro. Nie proponowali, aby batalion stał się batalionem imienia porucznika Zawadzkiego-Zośki. Nie, miał to być batalion „Zośka”! Staną się Zośką ustokrotnionym.

Prawie cały „Sad” Rudego znalazł się w jednej z organizowanych kompanii, która z miejsca przybrała nazwę „Rudy”. O Alka natomiast o mało nie wybuchł zatarg. Chłopcy, którzy z Alkiem współżyli i walczyli, znaleźli się w jednym z plutonów kompanii „Rudy”. Gdy usłyszeli, że zanoszą się na nazwanie innej kompanii imieniem ich przyjaciela i dowódcy, zaprotestowali zapalczy-

wie. Alek musi pozostać z nimi, z ich plutonem! Nie było rady – jeden z plutonów kompanii „Rudy” musiał zostać plutonem „Alek”.

Również przyjaciele Felka – którego koleżeńska troska o podkomendnych oraz bohaterska śmierć w akcji pod Czarnocinem stawały się symbolem – najpierw zespolili z jego imieniem pierwszą kompanię, ale po reorganizacji „zabrali go” ze sobą do jednego z plutonów „Rudego”! I odtąd zamiast kompanii „Felek” był pluton „Felek”. Duchy poległych towarzyszyły, jak z tego widać, swym żyjącym przyjaciołom, a nie organizacyjnym formom.

Właściwym bohaterem naszej opowieści jest wielki zespół młodzieży Grup Szturmowych. Ale ponieważ dla toku opowiadania pożądane jest wysunięcie paru postaci, wokół których skupi się narracja, niechże nimi będą Andrzej Morro i Jeremi. *Primi inter pares* – jak mawiali Rzymianie.

Andrzej Morro zaczął zwracać na siebie uwagę w okresie małego sabotażu, a w okresie dywersji miał już mocną pozycję. Zośka cenił go bardzo i typował na jednego ze swych następców.

Był o kilka lat młodszy od twórców Grup Szturmowych. Tamtych wojna zaskoczyła po pełnych maturach, jego – po „małej maturze”. Był wysokim, postawnym chłopcem o jasnych blond włosach, niebieskich oczach i podłużnej, regularnej twarzy. Gdy Niemcy zajęli Warszawę i ludzie z konieczności zeknęli się z hitlerowsko-rasistowskimi teoriami, koledzy zaczęli pokpiwać, iż Andrzej jest typowym nordykiem. Szesnastoletni wówczas Andrzej był w rozpacz. Próbował udowodniać, że nordykiem nie jest, gdyż tęczęwki ma niezupełnie niebieskie, a na twarzy trochę piegów, których nie uwzględniają żadne rasistowskie charakterystyki czystych Germanów. Nie pomogło – koledzy, wyzywając, iż trafili na „słaby punkt” Andrzeja, uporczywie głosili jego nordyckość. Nieszczęśliwy chłopiec dźwigał przez wiele pierwszych miesięcy okupacji tajemną udrękę swej nordyckości, aż po pewnym czasie przestali się tym interesować koledzy i zapomniał o tym sam Andrzej.

Zapomniał tym łatwiej, iż teraz zaczęły docierać doń nowe głosy o jego wyglądzie – głosy dziewcząt. Że jest przystojny. Tylko wargi ma zbyt chłopcęce, prawie dziecinne. Andrzej więc zaczął zastanawiać się, czy nie ma jakiego sposobu na nadanie wargom bardziej męskiego wyrazu, ale wnet machnął i na to ręką.

Młody człowiek z każdym miesiącem okupacji coraz mniej interesował się swym wyglądem zewnętrznym, a coraz bardziej pogrążał w świat wewnętrzny, świat myśli. Fakty codziennej hitlerowskiej przemocy wywoływały mocne, gwałtowne pragnienie sprawiedliwości i prawdy. Nie wiadomo, kiedy i jak, niemal z miesiąca na miesiąc, uroczy chłopiec przekształcał się coraz wyraźniej w gorliwego wyznawcę tych idei. Na stosunkach koleżeńskich ta Andrzejowa przemiana zaważy o tyle, iż dla przyjaciół Andrzej Morro stanie się niejako człowiekiem o dwóch duszach: miły kompan, wierny towarzysz – w pewnych chwilach zmienia się nagle w bezkompromisowego, twardego głosiciela prawdy. Andrzej – uroczy kolega, przyciąga i zespala, Andrzej – uporczywy realizator czystej linii postępowania, także wprawdzie pociąga niektórych, lecz zraża innych. Zwano go niekiedy Andrzejem Filozofem.

Andrzej jest wyrobiony sportowo. Na przedwojennych międzyszkolnych zawodach zdobył pierwsze miejsce w skoku o tyczce. Był dobrym strzelcem. Dobrze i chętnie grywał w koszykówkę, siatkówkę i piłkę nożną. Dobra kondycja fizyczna stanie się w wojskowych perypetiach Andrzeja bardzo cenną oprawą dla jego wartości wewnętrznych. Połączenie tych dwóch cech dać może w okresach walki zbrojnej szczególnie korzystne wyniki. W wypadku Andrzeja tak właśnie się zapowiadało, gdyż charakter i umysł młodego człowieka nie były na niższym poziomie niż jego sprężystość mięśniowa. Zarówno małą, przedwojenną maturę, jak i maturę „wielką”, robioną na konspiracyjnych kompletach, zdał na „bardzo dobrze”. Ponadto wyróżniał się w uczniowskim życiu społecznym, gdzie przez trzy lata był przewodniczącym samorządu.

Ojciec Andrzeja był indywidualnością wybitną. Wywierał niezwykły urok na całą rodzinę. Potrafił zaprzyjaźnić się z obydwojema synami (Andrzej miał o dwa lata młodszego brata, który teraz z nim razem należał do Grup Szturmowych). Owocem tej przyjaźni stał się fakt może drobny, lecz charakterystyczny: gdy trzeba było wybrać pseudonim konspiracyjny, Andrzej podał: „Morro”. Był to pseudonim jego ojca z konspiracyjnych czasów poprzedniej generacji, utworzony z przedstawienia dwóch pierwszych sylab nazwiska Romo-cki. Andrzej po tragicznej śmierci ojca w 1940 roku pragnął stać się jego kontynuacją, być jak on działaczem społecznym – żołnierzem. A matka? Z matką można było prowadzić niekończące się „zasadnicze” rozmowy i dyskusje, była więc „równą” mamą.

W Szarych Szeregach Andrzej czuł się świetnie, był przecież harcerzem od lat chłopięcych. Służbę pełnił w hufcu Rudego, zwanym „Sad”. Niewinna ta nazwa stanowiła kryptonim wyrazów sabotaż i dywersja. Zaprzyjaźnił się z Rudym i z Zośką. Śmierć ich wstrząsnęła nim. Gdy pierwsze i najsilniejsze wrażenie przeminęło, powtarzał uporczywie: „Musimy Zośkę i Rudego zastąpić, muszą trwać w naszej pracy”.

Miał teraz dwadzieścia lat i ustalony charakter. Posiadał szerokie, lecz rozproszone zainteresowania społeczne, polityczne, kulturalne. Pragnął, za zachętą ojca, studiować w Szkole Nauk Politycznych, wielbił sprężystość w myśleniu i działaniu. Uczył się języków. Wiele myślał i dyskutował.

Gdy dojdzie do wydarzeń opisanych w następnym rozdziale, Andrzej Moro będzie „świeżo upieczonym” dowódcą swego macierzystego plutonu „Sad”, w „świeżo upieczonej” kompanii „Rudy”. Trzy miesiące później, w grudniu 1943 roku, zostanie dowódcą tej kompanii.

A Jeremi? O Jeremim będzie właściwiej powiedzieć w innym miejscu.

II. Pod Wilanowem

W lecie 1943 roku kilka zastępów szaroszeregowych z Mokotowa urządziło ćwiczenia w Lasach Kabackich, które stanowią wielki kompleks leśny. Jeden z tych zastępów zabłądził; po wielogodzinnym kluczeniu znalazł się wczesnym rankiem w jakiejś wsi, jak się potem okazało – w Kępie Latoszkowej pod Wilanowem, która była wsią w znacznej części obsadzoną przez kolonistów niemieckich. Wprawdzie gospodarz, którego pytali o drogę, był Polakiem, lecz okazał się Polakiem zdrajcą. Gdy młodzi wypoczywali w jego obejściu, zawiadomił swych sąsiadów Niemców.

Uzbrojeni koloniści zorganizowali obławę. Ucieczka nie powiodła się. Ścigani przez coraz liczniejszych Niemców i paru pomagającym im sąsiadów Polaków, wyczerpani uprzednim całonocnym błądzeniem, nie uszli pogoni. Tylko troje znalazło ukrycie w zagrodach ludzi z polskim sumieniem, czterech natomiast chłopców zginęło okrutną śmiercią z rąk znęcających się nad nimi kolonistów.

Przebrała się miara. Nie wolno było puścić płazem nieludzkości kolonistów i ich przeciwpolskiego zuchwalstwa w bezpośrednim pobliżu stolicy. Nie wolno było tolerować haniebnego zachowania się paru polskich chłopów, głównych sprawców zdrady i schwywania. W Kierownictwie Walki Podziemnej zapadł na wieś wyrok. Wyrok groźny: zniszczyć zdraziecką wieś! Całą wieś. Trzeba było wstrząsnąć wyobraźnią Niemców i kandydatów na zdrajców kraju.

Kedyw wykonywał wyrok. Wydano rozkaz zmobilizowania kilku plutonów z różnych jednostek dywersji, a także siedemdziesięciu ludzi z Grup Szturmowych.

Gdy na odprawie dowódców kompanii i plutonów batalionu „Zośka” odczytano rozkaz, zapanowała długa chwila ciszy.

– Więc co to ma być? Mamy podpalić wieś?

– Nie podpalić, ale spalić.

Znów milczenie. Potem nowe pytanie:

– A chłopci?

– Jacy tam chłopci! Niemcy i gorsi od nich – zdrajcy. Rozkaz mówi wyraźnie: zniszczyć, wystrzelać.

Andrzej Morro zbladł, oddycha głęboko:

– Jerzy, przecież to niemożliwe! Jakże my to możemy zrobić?

Jerzy, dowódca batalionu, trze w zakłopotaniu brodę. Trzyma w ręku bibułkę rozkazu, patrzy w nią uporczywie.

Milczenie przerywa Kołczan. Jest poważniejszy niż zwykle, choć usiłuje ironizować.

– Tylko nie wymądrzać się, druhowie. Zostaliśmy wojskiem, a to, co Jerzy odczytał, jest rozkazem wojskowym. Ponadto – drobne przypomnienie: ci chłopcy to zdradziecka swołocz, która pomordowała naszych chłopców. Pomordowała z własnej, nieprzymuszonej woli. Musi być kara.

Gdy Kołczan kończy mówić, czuje, iż szczęki zwiera mu skurcz. Wyjmuje ręce z kieszeni spodni i rozpina guziki kurtki.

– Spokojnie, bracie, spokojnie – wtrąca się Długi. – Karać na pewno trzeba. Tylko, bracie, zdoładź się na wyobraźnię: mamy więc strzelać do bezbronych? Do kobiet może też? I ma to wykonywać pluton „Alek”? Właśnie „Alek”?

Długi jest po śmierci Zośki uznawany za strażnika tradycji Buków – tego „klanu” Grup Szturmowych – więc to, że stanął teraz przy Andrzeju Morro, robi wrażenie. A Długi, odczekawszy trochę, kończy:

– Nie powinniśmy mieć ambicji dorównywania Niemcom w hitlerowskich metodach walki.

Taka jednak konkluzja znów poderwała Kołczana. Ten robotniczy syn – krępy, energiczny – łatwo wpada w rozdrażnienie. Gorąco, namiętnie protestuje przeciw podobnym zestawieniom. Temperatura dyskusji wzrasta. Nikomu do głowy nie przyszło, że to przecież odprawa wojskowa, nawet Jerzy zapomniał o tym. Mówili jeden przez drugiego, niemal wszyscy równocześnie. Poważnie lub ironicznie, gwałtownie lub z udanym chłodem. Wszystko skoncentrowało się wokół zagadnienia odpowiedzialności zbiorowej: Czy dopuszczalna? Czy celowa? Gdy wreszcie po paru godzinach przynaglani głodem skończyli dyskusowanie i rozpoczęli pojedynczo lub po dwóch opuszczać lokal, rzecz wydawała się uzgodniona. Jerzy wręczył łączniczce kartkę do swego dowódcy z prośbą o natychmiastowe spotkanie: miał podjąć próbę zmienienia przez Kedyw rozkazu tak, aby na zniszczenie została skazana nie wieś, lecz tylko te punkty, w których dokonana się zdrada. Ze względu na niepewne losy interwencji Jerzy zobowiązał uczestników odprawy, aby o jej przebiegu nie dowiedział się nikt z podkomendnych.

Pesymizm Jerzego okazał się słuszny. Zmiana rozkazu napotkała trudności. Wyjaśniono, że wyrok na zdradziecką wieś zapadł nie w wojsku, lecz w Kierow-

nictwie Walki Podziemnej, a na interweniowanie tam było za późno. Dyspozycje do akcji i przygotowania były już zbyt zaawansowane. Ponadto w Kedywie, w związku z niedawnymi okrucieństwami hitlerowskimi we wsiach lubelskich, gdzie masowo odbierano dzieci rodzicom, aby je niemczyć, oraz wysiedlano całe wsie, panowało przekonanie o konieczności okrutnego odwetu na koloniastach niemieckich. Tyle tylko Jerzy wyjednał, że jego oddziały zostały przeznaczone wyłącznie do wykonania bojowej części roboty, odciążającej akcję odwetową atakami na posterunek żandarmerii i na skoszarowaną w pałacu wilanowskim grupę lotników niemieckich. Zniszczenie wsi miały przeprowadzić inne grupy Kedywu.

Koncentracja oddziału „Zośka”, skierowanego do akcji pod dowództwem Giewonta, została wyznaczona 26 września na cmentarzu wilanowskim, tuż przed końcem godziny policyjnej (w tym czasie była to godzina dwudziesta). Zjeżdżano się tramwajami, przybywano pieszo. Broń – steny, wisy, granaty, plastik – wieziono w teczkach lub niesiono pod płaszczami. Gdy Kołczan z kilkoma swoimi wsiadł do tramwaju niezbyt wypełnionego w tych ostatnich minutach dozwolonego ruchu, konduktor przez długi czas krytycznym, z lekka pokpiwającym spojrzeniem przyglądał się młodym ludziom. Paru było w długich butach, a większość trzymała pod pachami jakieś niewyraźne teckki. Kołczan wyciągnął pieniądze, aby zapłacić za bilety. Wówczas konduktor nie wytrzymał:

– Panowie, zapłacicie po robocie! Zresztą – wojsko nie płaci!

Kołczan, mały, czarny, zarośnięty – w pierwszej chwili oniemiał z zaskoczenia i nie wiedział, czy ma się oburzyć, czy „udać głupiego”. Ale wagon był niemal pusty, a konduktor mrużył oczy tak dobrodusznie. Kołczan również zmrużył w uśmiechu oko. Uśmiechnęła się i reszta chłopców.

Na cmentarzu, obstawionym przez czujki, było już rojno. Przybył też doktor Brom z paroma sanitariuszkami. Brom dopiero przed miesiącem związał się z Grupami Szturmowymi, była to jego druga akcja. Po raz pierwszy wystąpił w Sieczychach, a jego pierwszym rannym był Zośka. Doktor Brom był instruktorem harcerskim z Piotrkowa, świeżo przed wojną ukończonym lekarzem, którego „na ślepo” przydzielono do Grup Szturmowych. Można sobie wyobrazić zdziwienie Broma, gdy w Sieczychach, meldując się u dowódcy oddziału, zobaczył na jego piersi krzyż harcerski. Obok stało jeszcze kilku dywersantów – również z krzyżami.

– Co to za oddział, skąd te oznaki? – pytał zdziwiony Zośki, gdy szedł z nim na biwak.

– Widzę, że pan doktor po raz pierwszy zobaczył harcerzy – zażartował Zośka.

– Proszę nie gadać głupstw – zachnął się Brom. – Jestem instruktorem harcerskim.

– Paaan? – zdziwił się teraz z kolei Zośka. Aż przystanął z przejęcia. – Co za farsa! Przecież my jesteśmy oddziałem harcerskim w dywersji!

Żywy, o bojowym temperamencie lekarz przypadł chłopcom do serca. Zaprzyjaźnili się z nim szybko.

Przybyło też na akcję kilka sanitariuszek. Znali je z kontaktów w mieście, ale w polu wystąpiły po raz pierwszy dopiero w Sieczychach i teraz – w Wilanowie. Dotychczas chłopcy ratowali się sami. Na tę nowość patrzyli z aprobatą: towarzystwo dziewcząt wyszkolonych w ratownictwie jest i pożyteczne, i przyjemne.

Dochodziła godzina dwudziesta druga. Zerwał się silny wiatr. Gałęzie drzew zaczęły szeleścić wśród ramion krzyży.

Dowódca akcji – Giewont – raz po raz spoglądał na zegarek. Był to przedwojenny instruktor harcerski, o kilka lat starszy od Andrzeja Morro i jego kolegów. Ten niski, krępy, małomówny, flegmatyczny mężczyzna jeszcze niedawno był zwany w Grupach Szturmowych Małym. Ale spontanicznie zrodzony wśród otoczenia pseudonim nie zyskał aprobaty Małego. Toteż chłopcy, rozbawieni niezadowolonymi minami instruktora, zaczęli go żartobliwie zwać Giewontem. I tak już zostało.

Dwudziesta druga! Giewont błysnął latarką elektryczną.

– Zaczynamy!

Ostrożnie i w zupełnej ciszy oddział opuszcza cmentarz czterema grupami. Jedna grupa ma zaatakować lotników rozlokowanych w skrzydle pałacu wilanowskiego. Druga będzie likwidować tak zwaną streifę, posterunek niemiecki na szosie do Powsina. Trzecia natrze na placówkę policji niemieckiej i granatowej. Czwarta ubezpieczy działanie od strony Sadyby. Brom z sanitariuszkami zostaje na razie na cmentarzu.

Walka rozpoczęła się pod złym znakiem: nie zaczęto wszystkich działań równocześnie. Może Giewont coś źle obliczył albo jeden z patroli Kedywu za wcześnie spowodował eksplozję materiału wybuchowego założonego przy słupie tele-

fonicznym (przerwanie połączeń z Warszawą). Wybuch nastąpił, gdy oddziały „Zośki” nie wszystkie jeszcze były na stanowiskach.

Pierwsza rozpoczęła walkę grupa „streify”. Niestety, wybuch zaostrizył czujność żandarmów. Na nasz ogień odpowiedzieli natychmiast ogniem. Dwóch naszych – Witolda i Farysa – raniono. Na szczęście Andrzej Morro, dowodzący tu natarciem oddziału złożonego z chłopców „Sadu” i grupy Kopcia z kompanii wydzielonej, wpadł na pomysł oświetlenia Niemców od tyłu rozlaną i podpaloną benzyną. Efekt był piorunujący: pogrążeni w ciemnościach bojownicy ujrzeli nagle żandarmów w blaskach ognia. Walka została zakończona w ciągu minuty – większość Niemców poległa.

Na innym odcinku, z lotnikami – a raczej z żołnierzami artylerii przeciwlotniczej – wytworzyła się dziwaczna sytuacja. Grupa pierwszej kompanii „Felek” wpadła do skrzydła pałacu zajętego przez żołnierzy i zastała pokoje... puste! Niemcy wyszli na patrol do parku. Zjawili się na dziedzińcu w kilka minut potem, wybawiając chłopców z głupiego zakłopotania. Gdy sylwetki patrolu lotniczego ukazały się na tle jaśniejszego nieba, pada niemądre pytanie:

– Kto tam?

– Die Wache! – odpowiada nie mniej głupio Niemiec. Ale już w następnej sekundzie orientuje się w sytuacji i błyskawicznym ruchem podnosi „rozpylacz”. Florian był szybszy – ostry trzask broni maszynowej i wybuchy granatów burzą ciszę dziedzińca. Kilku Niemców pada. U nas zabity Smukły, ciężko ranny Gruby i lekko ranna łączniczka. Zewsząd słychać tupot nóg biegnących Niemców. Chłopcy wycofują się w gąszcz parku. Pozostawiają wśród wrogów – bodajże po raz pierwszy w dziejach Grup Szturmowych – ciężko rannego towarzysza oraz ciało poległego.

Równocześnie z pierwszymi strzałami koło pałacu wybuchają granaty pod odległym o kilkaset metrów budynkiem (placówka policji niemieckiej i granatowej). Ci też nie byli zaskoczeni. Ledwo wybuchły nasze filipinki i ledwo odezwały się strzały naszych stenów, gdy spoza ciemnych okien posterunku sypnęły się pociski.

Policja granatowa, zajmująca jedną część budynku, dała się łatwo rozbroić i bez strat. Policjanci niemieccy walczyli natomiast zaciekle. Wśród „Alków” powstało zamieszanie. Cofają się nieco. Niemcy ukryci w ciemnościach mają dogodnie położenie, a przekłety księżyc oświetla teren akcji.

– Kazik, z butelkami naprzód! – woła Kołczan, dowodzący tu grupą „Alków”. Kazik wybiega pochylony. W ogniu karabinów niemieckich, wykorzystując cień oficyny, dopada okna. Rzuca do wnętrza samozapalającą butelkę z benzyną. Bez skutku. Druga butelka też się nie zapala.

– Granatem do środka! – rozkazuje Kołczan Laudańskiemu. – Prędzaj!

Laudański, przywarłszy do ziemi, wyciągnął filipinkę. Podrywa się, biegnie i ciska w okno. Nim zdążył obrócić się i paść na ziemię, ujrzał błysk, usłyszał huk. Mocny podmuch pchnął go tak, że wyrzucił się, uderzając twarzą o ziemię. Momentalnie podniósł się i w podskokach biegnie do ogródka. Czuje, jakby w spodniach miał rój złośliwych os, i zdenerwowany chwytą się za pośladki – wymacuje szereg bolesnych miejsc. „Przekłęta filipina”.

W świetle ognia płonącej w policyjnej izbie benzyny wyskakuje z korytarza jakiś żandarm. Kołczan natychmiast zrywa się i strzelając w biegu do żandarma, wpada do sieni. Skacze przez walącego się na ziemię Niemca. Krótkie serie i szybkie pojedyncze strzały w sieni. Za krępą postacią szaleńca Kołczana, nieodrodnego następcy Alka, podrywają się: szofer Sem, Kuba, Anoda, Książę. Biegną do budynku. Nawet Laudański biegnie do walki. Tuż przy drzwiach dostaje postrzał w szyję. Czując płynącą krew, skręca w bramę sąsiedniego domu. – Tak, tak, tak – mamrocze wystraszony, sprawdzając, czy ma głos. Ma! Zaczyna ruszać głową – w porządku, nic nie boli. Sięga więc po opatrunek osobisty, który przed akcją przypiął agrafką do marynarki – nie ma go. Odwraca się, wypatrując pomocy, i widzi, że Kazik – młody tokarz z Brunwerke – leży we krwi. Czołga się do niego, chwytą za nogę i wciąga do sąsiedniej bramy. Nie żyje, rany okropne. Koło kieszeni Kazika – opatrunek osobisty, przyczepiony również przed akcją. Laudański bierze niepotrzebny już tamtemu opatrunek i zajmuje się swoją szyją.

Jakim cudem Kołczan wyszedł cało z chaosu strzałów wewnątrz budynku, spośród padających trupem Niemców i ran otrzymywanych przez naszych – trudno pojąć. Wyszedł jednak cało. Niestety, padło w tej walce dwóch naszych i kilku zostało rannych, między innymi Książę.

Oddziały ściągały podniecone, przemęczone po wykonaniu swoich zadań. Gdy Andrzej Morro jako ostatni z odskakujących wsiał do samochodu, w którym już znajdowali się: Brom, ranni, zabici, dwie sanitariuszki i osłona – wielka luna czerwieniła niebo. Płonął posterunek. Płonęła Latoszkowa Kępa, w której cichły już dalekie, ostatnie strzały.

– Zadanie wykonaliśmy – powiedział Morro do lekarza – ale mamy aż pięciu zabitych i bardzo ciężko rannych.

Gwałtowne szarpnięcie przechyliło wóz na bok. Jakiś ostry zgrzyt szarpnął całą karoserią.

– Sakramencka cholera! – zaklął jeden z młodych ludzi, waląc zębami w szoferkę, a łokciem w czyjąś głowę. Wóz jadący z niezapalonymi światłami najechał na słup „streify”, wbetonowany na środku szosy. Rezultaty nie kazały na siebie długo czekać. Po minucie przykry swąd zaczął wydobywać się spod maski samochodu, potem – kilkanaście prychnięć i wóz stanął.

Chłodnica silnika była bez wody. Medytowali bezradni nad unieruchomionym wozem. Nagle z dala, od strony Piaseczna – blask reflektorów. Blask rósł zatrważająco szybko. Nie ulegało wątpliwości – zbliża się kilka dużych samochodów.

– Ładna historia!

Mowy nie było, aby zdążyć wynieść rannych i odskoczyć. Zdrowi i lekko ranni weszli do rowu przydrożnego i przygotowali broń.

Andrzej Morro odbezpieczył stena i czekał. Wtem zbliżające się szybko obce auta zaczynają... dzwonić! Po chwili osłupienia – radosna myśl: straż ogniowa!

Andrzej Morro jest już na szosie. Wymachując pistoletem, krzyczy coś do aut. Pierwsze auto mija go. Drugie – gdy wyskoczył na środek jezdni i stał tak bez ruchu z pistoletem skierowanym w czerń nocy powyżej reflektorów – stanęło. Po chwili stanęło i pierwsze.

Z jednego i drugiego wozy wysypują się strażacy, podchodzą do Andrzeja. Ten stoi nieruchomo w pełnych blaskach reflektorów, ze stenem w dłoni, wysoki, postawny i groźny.

– Panowie, na tym terenie odbywa się akcja Armii Krajowej. Popsuł się nam wóz. Zmuszeni jesteśmy zarekwirować wasz.

Chwila ciszy i...

– Niech żyje Polska! – krzyczy piskliwym, nienaturalnym w radosnym podnieceniu głosem któryś ze strażaków.

– Niech żyje Polska! – podchwytyją dziesiątki głosów. Co za ludzie! Podnieceni nie wiedzą, jak wyrazić swe uczucia bojowcom. Któryś zdejmuje swój hełm strażacki i wkłada na głowę Andrzeja Morro.

Samochód straży ogniowej, która nie dojechała nigdy do płonącej wsi, bierze ciężarówkę na hol. Strażacy pozostają. Ubezpieczeni i ranni z ciałami zabitych podążają do zakładu siostr urszulanek w Chylicach, gdzie był umówiony punkt opatrunkowy.

Doktor Brom opatruje najpierw lżej rannych, którzy muszą jak najszybciej odjechać. Gdy lekarz ogląda szyję Laudańskiego, mówi doń:

– Szczęściarz! Kilka milimetrów głębiej i mielibyście przerwana tętnicę! Czy są jeszcze jakie rany?

Laudański rumieni się, spoglądając z ukosa na sanitariuszkę, i mówi możliwie najciszej:

– Zdaje się, że moja własna filipina trzepnęła mnie trochę w pośladki.

Lekarz uśmiecha się, rozumie chłopca; gdy skończył z szyją, zwraca się do sanitariuszki:

– Panno Marto, dalsze zranienia tego druha opatrzę sam.

Skończone. Andrzej Morro zostawia lekarza i jedną z sanitariuszek z dwoma ciężko rannymi i z ciałami dwóch zabitych kolegów, a sam z lekko rannymi i z ochroną odjeżdża.

Nie odjechałby Andrzej tak szybko, gdyby wiedział, jakie kłopoty zwałą się na lekarza. Nieszczęsny Brom i nieszczęsna sanitariuszka, przemęczeni wyczerpującą, wielogodzinną pracą opatrywania, czuwania i wiezienia rannych, muszą prznosić obu rannych i sami grzebać ciała dwóch zabitych – Kazika i Józka.

Jakże ciężkie są ciała poległych, gdy we dwójkę trzeba je nieść w daleką część ogrodu, jakże zbolełe są mięśnie i kości, gdy kopie się przez parę godzin mogiłę... A potem, ledwo umywszy ręce, trzeba śpieszyć do tego, który ranny w brzuch zdaje się już konać. Zastryk. Umycie i wygodne, ostrożne ułożenie. Znów zastryk.

Jest już pełny ranek. Najwyższy czas na odjazd. Lekarz pośpiesznie zmywa plamy krwi z marynarki, pakuje walizeczkę lekarską. Idzie szybko do kolejki wąskotorowej. Sanitariuszka pozostaje z rannymi.

Gdy kolejka staje na stacji w Wilanowie, jest prawie pusta. Na peronie pełno żandarmerii i jakiś nienaturalny ruch. Kilku żandarmów wchodzi do wagonu i powoli zbliża się do Broma. Po raz pierwszy w życiu doktor Brom odczuwa gwałtowną potrzebę zapalenia papierosa. Niestety, nie pali, nie ma więc papierosów.

Niemcy przeszli.

W tym samym czasie w Domu Starców w Górze Kalwarii obudził się po męczącej nocy jeden z lekko rannych – Laudański. Musiał całą noc leżeć na brzuchu, z głową odwróconą tylko w jedną stronę – miał więc fatalne sny. Śnił mu się profesor Czyżykowski z kompletów: „Panie Laudański, jak tam z trygonometrią?”, to znów dręczył go niepokój o własną drużynę: jak tam będzie bez niego ze szkoleniem dywersyjnym? A potem nawiedziła go ztroskana twarz matki i Kazik z tymi okropnymi ranami głowy. Co za noc!

Wieczorem zeszli się u Andrzeja Morro – Jerzy, Giewont, Kołczan, Maciek, Czarny Jaś i jeszcze paru. Przyszli ot tak, pogadać.

– No i co zrobić z tymi typami, którzy zostawili rannego na terenie pałacu?

– Nie ma co, szpetna historia: batalion „Zośka” i dwóch kolegów pozostawionych Niemcom. Alek, Rudy i Zośka skręcają się chyba w grobach.

Milczą.

– W ogóle cała afera z tą Kępą Latoszkową nie będzie chyba należała do najpiękniejszych kart „Zośki” – mówi z namysłem i powoli młodszy brat Andrzeja Morro – Jaś Romocki, zwany Bonawenturą. Ma zmarszczone brwi i z trudem wydusza z siebie słowa.

– O co ci chodzi? – pyta porywczo Kołczan. – Że pięciu naszych zginęło? Byłoby zbyt dobrze, gdyby na wojnie tylko wróg ginął. Zresztą co najmniej siedmiu szkopów gryzie piach z naszej ręki.

– Nie tylko, nie tylko o tych poległych – mruczy chudzielec Bonawentura. Denerwuje się, gniecie palce. – Wciąż mam przed oczyma daleki ogień, dymy palącej się wsi i wciąż słyszę strzały nie nasze, nie te z parku, gdzie lotnicy, lecz tamte, koło wsi...

– Czyś ty zwariował, Bonawentura? – unosi się znów Kołczan, wściekły, że dyskusja z niedawnej odprawy może znów się rozpocząć w nowym gronie. – Miej rozum, przecież to Niemcy i gorsi od Niemców – zdrajcy polscy. Wymordowali naszych chłopców. Pastwili się nad nimi. Było przecież śledztwo, wiemy dobrze, co się tam działo. Może byś i żandarmów bronił?

Bonawentura wciąż nerwowo gniecie palce. Jest jednym z najmłodszych w tym gronie. Czuje się skrępowany swymi odczuciami. Nie jest pewien, czy nie będzie mu to poczytywane za brak męskości.

Wybawia go z kłopotliwej sytuacji dowódca batalionu – Jerzy. Informuje, że ma dokładne wiadomości o akcji i że „przewrażliwione sumienia” niepotrzebnie wyolbrzymiają niektóre fakty. Nie spalono całej wsi, tylko jej część. Nie

„wymordowano w pień” ludności, lecz wykonując wyrok, rozstrzelano trzech mężczyzn – Polaków, z których dwóch było głównymi sprawcami nieszczęścia, oraz zgładzono dziewięciu volksdeutschów. To wszystko.

Andrzej Morro spuszcza oczy, Maciek natomiast zaczyna z zaciętością wykrzykiwać, że Kedyw niepotrzebnie zmiękł; mówi to z zaciśniętymi pięściami. Zawsze uśmiechnięty i zawsze z zadartą głową, Maciek tym razem nie pogwizduje, nie uśmiecha się, tylko podniesionym głosem coś udowadnia. Andrzej Długi wstał, podszedł do okna i włożywszy ręce głęboko w kieszenie, patrzy na pożółkłą zieleni wysokiej topoli.

– Pięciu naszych znów padło – mruczy Czarny Jaś, pochyliwszy głowę o granatowoczarnej czuprynie.

– Może w tym jest część naszej winy – mówi po dłuższej chwili zaszępiiony Giewont. – Może popełniliśmy jakiś błąd w opracowywaniu akcji?

Andrzej Morro wstał.

– Czy nie za wiele jęków? Czy nie wystarczy krótkie stwierdzenie, że wystartowaliśmy jako „Zośka” nie najlepiej? Użyto nas do akcji nieodpowiedniej, skoro u tyłu spośród nas wywołała niepokój sumień. To raz. A po drugie – akcja ujawniła, że wojskowo jesteśmy mniej warci, niż sobie wyobrażaliśmy. Trzeba będzie wziąć siebie i plutony w garść, jeżeli mamy nie zagubić tradycji Zośki, Rudego i Alka.

Jerzy wpatruje się uważnie w młodzieńczą twarz Andrzeja, w jego szerokie czoło wyrażające skupienie i w zdecydowanie zarysowany podbródek. „To ja powinienem powiedzieć coś takiego” – myśli Jerzy. To samo myśli Giewont. Wyrazy twarzy Kołczana i Maćka zdradzają jednak uporczywy sprzeciw.

W kilka dni potem kierownictwo Szarych Szeregów wysłało list do dowództwa Armii Krajowej. W liście tym stwierdzono, że niezłomnym pragnieniem Grup Szturmowych jest przodowanie w żołnierskiej ofiarności bojowej. Jednakże istnieją wątpliwości, czy stosunkowo liczne w ostatnich czasach straty oddziałów nie wymagają rewizji sposobów dysponowania nimi i czy wszystkie przeprowadzone ostatnio akcje były właściwie ocenione pod kątem potrzeb wojny.

Wysłanie tego listu kosztowało niemało tych, którzy go zainicjowali. Prawo czynników społecznych do wglądu w działalność wojska zdawało się tak niepewne.

III. Kompania wydzielona, czyli przyszły „Parasol”

Z Grup Szturmowych uformowano trzy kompanie. Dwie z nich utworzyły batalion „Zośka”. Trzecia została wydzielona z tego batalionu do zadań specjalnych. W czasie kiedy ludzie „Zośki” przygotowywali akcję wilanowską, kompania wydzielona miała do wykonania swe pierwsze ważne zadanie: likwidację Bürckla.

Rozmaitość i częstotliwość zadań, jakie spadały na Dywersję, wymagały specjalizacji. Pomiędzy atakowaniem transportów kolejowych lub posterunków wojskowych a likwidacją szkodliwych hitlerowców była tak wielka różnica, że należało w każdej z tych odmiennych form walki dysponować innymi ludźmi. Chodziło o wdrożenie w odrębne rodzaje umiejętności; trzeba było organizować różne typy rozpoznania i zabezpieczenia, wypracować wyspecjalizowane rodzaje łączności. Oto dlatego w „Zośce” kompanie „Rudy” i „Felek” tworzyły jedną grupę dywersyjną nastawioną na zamachy kolejowe i akcje podobne, kompania zaś wydzielona (która z czasem otrzymała kryptonim „Parasol”) tworzyła grupę dywersyjną drugą, przeznaczoną specjalnie do walki z gestapo. Oczywiście te dwa rodzaje specjalizacji nie wyczerpywały ówczesnych form walki zbrojnej. Wystarczy przypomnieć bojową pracę oddziałów partyzanckich rozrzuconych po lasach.

Walka z gestapo stała się w połowie 1943 roku piekącą koniecznością. Nade wszystko w Warszawie. Aparat wroga został tu tak bardzo rozbudowany, iż czas był najwyższy przystąpić do psucia tej maszyny. A ponadto Warszawa była najbardziej podminowaną stolicą w okupowanej Europie. Hitlerowska policja polityczna, gestapo, skoncentrowała tu oddziały i ludzi najbezwzględniejszych, najtwardszych. Toteż nigdzie chyba okrucieństwo gestapowskie nie hulało tak, jak w Warszawie i nigdzie konieczność reflektującej okupanta pomocy nie była tak pilna, jak w Warszawie.

Walka z gestapo została zlecona trzeciej kompanii Grup Szturmowych, oddanej pod dowództwo oficera Kedywu do zleceń specjalnych, Pługa. I, właściwie mówiąc, kompania trzecia stała się dziełem jego rąk. Zastępcą swym mianował Pług Jerzego Zborowskiego-Jeremiego. Nominacja była naturalną konsekwencją

tego faktu, że gdy jeszcze za życia Zośki dobierano z Grup Szturmowych drużyny do przyszłej kompanii wydzielonej, Zośka na ich szefa wyznaczył Jeremiego, dowódcę najliczniejszej grupy zespołu.

Już przy pierwszym, wstępnym omawianiu zadań kompanii Pług oświadczył:

– Ustaliłem w Kedywie, że kompania nasza będzie używana wyłącznie do akcji na gestapo i SS. Nie zostaniemy nigdy użyci do wykonywania wyroków na rodzimej kanalii.

– Jesteśmy panu za to ogromnie wdzięczni – powiedział Jeremi. A po chwili dodał z uśmiechem: – Kat jest wprawdzie też instytucją dziś potrzebną, ale my już wolimy niszczyć prawdziwego wroga.

Ograniczenie działań kompanii i w ogóle oddziałów szaroszeregowych tylko do akcji przeciwko siłom zbrojnym i policyjnym niemieckim zawdzięczano „Dyrektorowi” Kedywu – Nilowi, który wczuwał się doskonale w potrzeby wychowawczo-wojskowe tej młodzieży. Nie chodziło o zaoszczędzenie młodzieży szaroszeregowej „brudnej roboty”, jak to błędnie napisał po wojnie ktoś nieobeznany z faktami. Myśl przewodnią tej decyzji była inna: wysunąć oddziały Grup Szturmowych do walki równego z równym, do walki z prawdziwie groźnym wrogiem.

Jeremi w ramach Petu – samokształceniowej organizacji młodzieży szkół średnich – wszedł przed paroma laty, podobnie jak Andrzej Morro, do Szarych Szeregów. Obydwaj już w Pecie przyjaźnili się ze sobą. Gdy organizacja rozrosła się i zaszła konieczność podzielenia jej na dwie grupy – Żoliborz i Mokotów – Jeremi został „starszym” Żoliborza, Andrzej zaś – Mokotowa. Każdy z nich rozwinął swą grupę do czterech sekcji i każdy usiłował postawić referaty w sekcjach i dyskusje na dobrym poziomie. Jeremi wslawił się cyklem obejmującym rozważania o charakterze narodowym Polaków i próbą samookreślenia – pod tym kątem widzenia – wad i błędów popełnianych przez chłopców i dziewczęta. Andrzej natomiast zasłynął z cyklu wykładów o sytuacji gospodarczo-społecznej Polski, do których sporządzona została przy pomocy kierownika Petu – Rafała – imponująca bibliografia. Napięcie współzawodnictwa między „Żoliborzem” Jeremiego i „Mokotowem” Andrzeja Morro powstało jesienią 1941 roku, gdy Pet rozpoczął w ramach organizacji „Wawer” cotygodniowe akcje małego sabotażu i gdy wkrótce potem zespolił się z Szarymi Szeregami i w ich ramach przystąpił do akcji dywersyjnych.

Andrzeja Morro cechowała pewna reprezentacyjność, barwność i błyskotliwość – jego postać przyciągała bardziej wzrok i przez pewien czas przesuwiał się on przez życie szaroszeregowo o krok przed Jeremim. Aż nagle – było to w okresie reorganizowania Grup Szturmowych – pewien zabawny wypadek odwrócił szanse obydwu młodych ludzi.

Któregoś wieczoru Jeremi pędził do swego domu na Żoliborzu. Zbliżała się godzina policyjna. Gdy skręcał za róg ulicy – natknął się nosem w nos na patrol niemiecki, przeprowadzający „modne” wówczas małe, wieczorowe obławy. Warkliwie: *Hände hoch!* I oto Jeremi stoi w bramie twarzą do ściany, z podniesionymi do góry rękoma, a za nim żandarm z karabinem. Po chwili dwaj inni żandarmi oddalają się o kilkadziesiąt kroków, aby zagarnąć następnych przechodniów. Wówczas Jeremi, tak jak stał z podniesionymi rękoma, skręca się nagle i wali Niemca w łeb z takim rozmachem, że Niemiec, jego karabin i hełm rozlatują się na trzy strony po chodniku ulicy. Wrzask, gwizdki, strzały – ale zbawczy labirynt zadrzewionych uliczek willowych wchłania umykającą postać. Patrol klnie szpetnie i zawraca w kierunku ludniejszej części Żoliborza, fraszobliwie spoglądając na masującego sobie skroń „kamerada”.

Przygoda żoliborska przyniosła Jeremiu na pewien czas sławę w „Zośce” i kompanii wydzielonej. Chodził – jak sam o sobie mawiał – „w promieniach sławy”. Prawą dłoń manifestacyjnie owijał w kraciasty, bawełniany szalik i z góry spoglądał na Andrzeja. A gdy w rozkazie Kedywu przypieczętowującym reorganizację Grup Szturmowych podano nominację Jeremiego na zastępcę dowódcy kompanii wydzielonej, przy równoczesnym mianowaniu Andrzeja Morro dowódcą plutonu w innej kompanii, po plutonach gruchnęła plotka, iż najlepszy sposób na awans to walnięcie żandarma w ucho!

Jeremi był młodym, dwudziestoletnim człowiekiem. Pług natomiast – przełożony Jeremiego – był mężczyzną w pełni sił (liczył chyba około 35 lat). W wojsku służył od początku wojny i przeszedł bardzo staranne przeszkolenie dywersyjne pod kierunkiem specjalistów angielskich.

Jeremi nie znał świata poza Polską, Pług kilka lat spędził w krajach anglosaskich. Jeremi znał Warszawę, w której wyrósł i wychował się, jak własną kieszeń, Pług zaś został zrzucony na spadochronie przed rokiem i dopiero w tym czasie po raz pierwszy zamieszkał w Warszawie. Jeremi był uczuciowy, w czasie rozmowy podniecał się, gestykułował żywo. W myślach i działaniach był rzutki,

energiczny, bystry. Pług przejął angielską flegmę i tak zdumiewające opanowanie w słowach i ruchach, że chłopcy – znając go od wielu miesięcy – wciąż patrzyli nań z podziwem.

Tylko w chwilach krytycznych, gdy ważyły się losy życia, obydwaj ci ludzie, zadając podświadomie gwałt swoim naturom, stawali się zaprzeczeniem jakby samych siebie: Jeremi nabierał wówczas czujnej rozwagi i ostrożności, Pług zaś stawał się uosobieniem bystrości i ostrej, natychmiastowej decyzji.

Gdy szli razem ulicą – Jeremi niski, niedbający o ubiór, w nieoczyszczonych butach, od dawna niestrzyżony, zapalczywie dyskutujący w błyskach swych okularów, a obok niego spokojny, małomówny, prosty jak świeca, starannie ubrany mężczyzna z laską w ręku, w spodniach zawsze dokładnie wyprasowanych, z właściwie dobranym krawatem – zdawało się, że idą obok siebie dwa zupełne przeciwieństwa.

A może dwa typy ludzkie wzajemnie się uzupełniające?

Raczej to drugie! Młody podziwiał starszego, starszy cenił młodego. Wiedzieli, że jeden bez drugiego jest czymś niezupełnym, że razem, we dwójkę, stanowią instrument niemal doskonały. Oczywiście w pracy organizacyjnej i jako autorytet wojskowy wytrawny Pług górował znacznie nad Jeremim, ale w ruchliwości, sprawności fizycznej i bystrej orientacji Jeremi był bezkonkurencyjny; a przy tym był naturalnym przywódcą kolegów-petowców.

Rozkazem Kedywu – kierownictwa Dywersji – skoncentrowani wyłącznie na walce z gestapo, szybko i sprawnie montowali aparat do tych delikatnych zadań. Mieli już zresztą z poprzedniego okresu trochę doświadczenia. Teraz włączył się do tych prac doskonały partner – porucznik Rayski, mianowany oficerem wywiadu dywersyjnego kompanii wydzielonej. Rayski swą karierę u Pługa zaczął od niełatwego „rozpracowania” Franza Bürckla. Akcja ta stanowiła pierwsze poważne zadanie kompanii wydzielonej.

Odpowiedzialność zadania polegała nie tyle na tym, że chodziło o słynnego na całą Warszawę zastępcę komendanta Pawiaka, dowodzącego jedną z dwóch zmian załogi tego olbrzymiego więzienia, SS-oberscharführera Bürckla, znanego z sadystycznego znęcania się nad więźniami politycznymi. Duża odpowiedzialność akcji wiązała się z miejscem, na którym miała się rozegrać. Trzeba było rzecz wykonać w rejonie ulicy Litewskiej, tylko bowiem na tym terenie rozpoznano stałe ruchy Bürckla. Rejon Litewskiej był miej-

scem wyjątkowo nieprzyjemnym, miejscem bezpośredniego sąsiedztwa z centralą gestapo na Szucha. Kręciło się tu mnóstwo Niemców umundurowanych i po cywilnemu. W pobliżu było kilka posterunków policji niemieckiej i wojska.

Dochodzi godzina dziewiąta pięćdziesiąt pięć rano. Jeremi, który osobiście dowodzi akcją, stoi na przystanku tramwajowym przy rogu Marszałkowskiej i Oleandrów. Patrzy w stronę ulicy Oleandrów, gdzie mieszka Bürckl. Stąd należy się go spodziewać. W pobliżu Jeremiego – młody człowiek z wywiadu. Kilkanaście kroków dalej oparł się o mur domu jakiś melancholijny skrzypek, trzymając pod pachą zamknięty futerał skrzypiec. W sąsiedniej bramie i na przeciwległym przystanku u wylotu Litewskiej – dwóch młodych, niezwracających wzajem na siebie uwagi, ludzi.

W pewnej chwili wywiadowca Żar wskazuje Jeremiu głową i wzrokiem: Ten tam, gruby, krępy, po cywilnemu, z kobietą i z psem.

Serce zaczyna walić w piersi Jeremiego, lecz naraz – zamiera. Do przeciwległego przystanku u wylotu Litewskiej, przy którym stoi Broniek Lot, zbliża się trzech żandarmów. Równocześnie od placu Zbawiciela nadjeżdża na dwóch motocyklach lotny patrol schupo, a z placu Unii Lubelskiej wyłania się tramwaj, którego przednia platforma jest cała zielona od mundurów policji niemieckiej. Co za diabelna koncentracja przeszkód! I w tym momencie Bürckl wchodzi w Marszałkowską...

Wir rozpaczliwych myśli! Szarpiąca bezwola wahania... Oddech zamarł i oczy zdają się wychodzić z orbit... Jeremi widzi zbliżającą się nalaną, obrzękłą twarz, ponure spojrzenie, kapelusz nasunięty na czoło, potężne pięści. Ale w tymże ułamku sekundy widzi wszystkich swoich na właściwych miejscach. Zapada decyzja: robić!

Jeremi opuszcza przystanek i idzie przez jezdnię przed Niemcem. Jest to umówiony znak na rozpoczęcie akcji. Teraz już nic nie może powstrzymać biegu wypadków.

Broniek Lot, który wspólnie z Jeremim ma wykonać wyrok Kierownictwa Walki Podziemnej, przechodzi na drugą stronę Litewskiej, jakby na spotkanie Jeremiego. Wymija trzech czekających na tramwaj żandarmów. Odbezpiecza pod płaszczem pistolet. Bürckl coraz bliżej.

Seria krótkich, suchych strzałów!

Ulica zamiera w zaskoczeniu. Bürckl ślania się i pada. Przechodnie w popłochu biegną do bram. Nadjeżdżający tramwaj ostro, zgrzytliwie hamuje. Żandarmi i patrol motocyklowy sięgają po broń.

Jeremi ze stnem w dłoni podbiega do Bronka:

– Ubezpieczam, rewiduj!

Bronek schyla się nad Bürcklem w poszukiwaniu dokumentów. Jeremi, uprzedzając żandarmów, naciska spust. Strumień pocisków leci w kierunku przystanku. Jeden żandarm pada. Reszta biegnie za wóz tramwajowy. Z wozu wysypują się zieloni, dobywając w pośpiechu broń. Patrol motocyklowy rozpoczyna ogień od strony alei Piłsudskiego: sześciu schupowców wali chaotycznie, lecz gęsto, z sześciu luf.

Nagle – zupełne zaskoczenie Niemców: melancholijny skrzypek pod murem, na którego nikt nie zwraca uwagi, otwiera futerał, dobywa pistolet maszynowy i ze zdumiewającym spokojem, celnie, uważnie bije w motocyklistów. Tamci chronią się szybko za motory. Niestety, teraz zaczynają nerwowy ogień zieloni, którzy schronili się za tramwaj.

– Już? – pyta Jeremi. Dostrzega w rękę Bronka papiery, nie czekając więc odpowiedzi, strzela jeszcze kilkakrotnie do SS-manów nadbiegających ulicą Litewską.

Gdzieś z bramy, osłaniając bieg Jeremiego i Bronka, strzały Kędziora trzymają w miejscu skrytych za tramwajem Niemców. Paru broczy krwią. Na jezdni przy Litewskiej leży we krwi dwóch żandarmów. Kędzior jest świetnie ustawiony, strzela uważnie.

Potężny wybuch – i gęsty kurz z dymem. To skrzypek Dietrich rzucił fili-pinkę, wydobył z tegoż niezwykłego futerału skrzypcowego, w zbitą gromadę zielonych za tramwajem. Popłoch, jęki.

Młodzi ludzie biegną w kierunku alei Piłsudskiego, gdzie czeka samochód. Motor jest już włączony. Kierowca Konrad podrywa maszynę, gdy ostatni bojowiec wskoczył w drzwiczki wozu. Widzą jeszcze, jak z Litewskiej wybiega jakiś gestapowiec, repetujący pośpiesznie broń i pada ugodzony przez Jeremiego w brzuch. Muzyk, przyklękłszy w aucie, wodzi lufą pistoletu wszędzie tam, gdzie dostrzega niebezpieczeństwo.

Samochód zatacza krótki zakos. W pełnym biegu skręca w aleję Piłsudskiego, niemal ocierając się o patrol motocyklowy. Niemcy są jednak zbyt podenerwowani. Ich kule nie są celne, a pistolet Jeremiego, który wychylił się z roztrzaskanego

okna auta i „pruje” w motocyklistów, załamuje ich do reszty i rzuca na chodnik. Gwałtowne wycie motoru cichnie i wóz znika za najbliższym rogami.

Akcja trwała jedną minutę i trzydzieści sekund.

Z naszej strony – żadnych strat. U Niemców około ośmiu zabitych i rannych.

Po wojnie w opowiadaniach z czasów okupacyjnych, w filmach i powieściach nieraz zjawiać się będzie skrzypek, zaskakujący wroga swą przemianą w bojowca. Historycznym faktem jest, iż pomysł ten zrodził się i został urzeczywistniony w kompanii wydzielonej. Zresztą pomysł ze skrzypkiem jest tylko udanym fragmentem; znacznie bardziej interesujący jest fakt inny: w ciągu całej tej błyskawicznie rozgrywającej się akcji prawie nie było słyhać głosów bojowców. Rzekłbyś – walczyła grupa niemych, nie jedna przy tym grupa, lecz przedziwnie zharmonizowany zespół porozrzucanych z dala od siebie jednostek lub dwójek. Oczywiście to klasycznie precyzyjne i odważne wykonawstwo, jakby jasnowidząco przeczuwające spiętrzenie nieoczekiwanych trudności – było dalekie od improwizacji: „akcja Bürckl” została dziesiątki razy przeciwczona najpierw w pokoju przy stole, na wielkim planie tego rejonu miasta, a potem parokrotnie odegrana próbnie w „terenach”, z braniem pod uwagę różnych wariantów sytuacyjnych.

A co się tyczy sensu dokonanego wyroku, to przywracał on równowagę moralną w wielkim środowisku ludzkim, nad którym Bürckl ciążył, i reflektował inne środowisko ludzkie, któremu Bürckl służył. Franz Bürckl bowiem był tym, który wśród wszystkich oprawców Pawiaka miał najwięcej zbrodni za sobą. Znali go wszyscy więźniowie, to znaczy – wiele tysięcy osób. Niepoczytalny okrutnik, wielokrotny morderca, potrafił pastwić się nad kobietami i starcami, a z nieopisaną wręcz zaciętością – nad więźniami Żydami. Do jego rozrywek należało szczucie więźniów psem oraz „gimnastyka” stanowiąca pasmo śmiertelnych często udreżeń. Osobiście zastrzelił i powiesił dziesiątki więźniów. *Kula, od której padł* – pisało jedno z pism podziemnych – *usunęła ze świata złowrogie bydło, które nie zasłużyło na tak prędką, łagodną śmierć.*

Akcja na Bürckla była w życiu Jeremiego etapem ważnym także dlatego, że przeżył wówczas jedno z najpiękniejszych doświadczeń młodości: odkrył przy-

jaciela. Dotychczas tak się składało, że miał wielu serdecznych kolegów, ale nie miał przyjaciela. Prawdziwego, jedyne przyjaciela.

Bronek Lot był rówieśnikiem Jeremiego. Tak jak Jeremi miał dwadzieścia lat. Do Petu żoliborskiego wstąpił w drugim roku jego istnienia i wyglądem zewnętrznym nie wyróżniał się wśród wielu podobnych młodych ludzi. Był szczupły, niewysoki, włosy ciemne i gładko zaczesane banalizowałyby głowę, gdyby nie silnie zarysowane brwi nad piwnymi oczami i ruchliwość śniadej twarzy. Czynił wrażenie człowieka nieco wybuchowego i upartego, skłonnego do dysput i polemik teoretyka-intelektualisty.

Poznawali się z Jeremim stopniowo, jakby etapami. W dyskusjach Broniek ujawniał wysoki poziom inteligencji i erudycji. Szczególnie gdy rzecz dotyczyła tematów, którymi się pasjonował: spraw narodowościowych i zagadnień współżycia narodów. W akcjach małego sabotażu okazało się, że niezręczność i roztargnienie Bronka, przypisywane mu przez kolegów, są legendą! W istocie był spokojnym i zrównoważonym, choć niekiedy zuchwałym realizatorem małych sabotażowych akcji ulicznych. Gdy został szefem niewielkiego zespołu – przewidującym i troskliwym dowódcą. Te właśnie cechy sprawiły, że kiedy formowała się kompania wydzielona Grup Szturmowych i sam Jeremi objął w niej pierwszy pluton, mianował Bronka dowódcą jednej z drużyn w swoim plutonie. Był to zresztą pluton typowo inteligencki – jego jądro stanowiła młodzież żoliborskiego Petu, poszerzona o świetną grupę chłopców ze Starówki, którą i Jeremi, i Broniek bardzo cenili. Zgadzała się zresztą przeważnie w swych sądach. Ale dopiero podczas przygotowań do akcji na Bürckla i podczas samej akcji obydwaj młodzi ludzie ujrzeni w całej pełni zdumiewającą harmonię w swych rozumowaniach i odczuciach, w pojmowaniu świata i ludzi. Nie była to oczywiście identyfikacja, ale właśnie różnice ich usposobień stały się jakby klamrą, spinającą ostatecznie przyjaźń, gdyż czyniły tę przyjaźń koniecznością. Jeremi spostrzegł, że Broniek Lot pogłębia jego spojrzenie na wydarzenia i na stosunki ludzkie, Broniek zaś ujrzał, że Jeremi dynamizuje jego dotychczasowe życie.

W ciągu dziewięćdziesięciu sekund akcji na Bürckla, gdy każdy gest, każdy krok, każda myśl obydwu młodych ludzi operujących na jezdni i chodniku Marszałkowskiej decydowały o ich życiu i śmierci, o klęsce lub zwycięstwie, odczuli także rzecz dla ich przyjaźni bardzo ważną: mogli na sobie polegać całkowicie. Mogli być pewni sprawności swych działań i swej wierności wzajemnej.

Tego wieczoru przespacerowali (we dwójkę) parę godzin nad Wisłą, na przemian milcząc lub rozmawiając żarliwie.

Kompania wydzielona – przyszły „Parasol” – składała się z trzech plutonów. Akcję na Būrckla wykonał pluton pierwszy, którego dowódcą był Jeremi. Jedną z najpoważniejszych akcji następnych zlecono plutonowi trzeciemu, którego dowódcą był Luty.

Luty, Wacław Dunin-Karwicki, student medycyny na tajnych kompletach, wywodził się z szóstej warszawskiej drużyny harcerskiej, macierzystej drużyny dowódcy „Zośki” – Jerzego. Weszło ich z tej drużyny do Grup Szturmowych sześciu, między innymi lekkoduch, fantasta Przygoda, poważny Drył, ale przede wszystkim właśnie Luty, przyboczny przedwojennej Szóstki, trochę od kolegów starszy, ich moralny przywódca. Brali udział w akcji pod Celestynowem i wkrótce weszli do kompanii wydzielonej, stając się załączkiem trzeciego plutonu.

Wprawdzie sam Luty i jego szkolni koledzy pochodzili ze środowiska inteligencko-mieszczańskiego, ale w trzecim plutonie znalazła się w większości młodzież robotnicza i rzemieślnicza Powiśla, gdzie Luty prowadził podczas okupacji swój hufiec harcerski. Siedmiu jego chłopców jeździło do pracy w niemieckiej fabryce kabli w Ożarowie, reszta pracowała w Warszawie.

Przewaga młodzieży robotniczej w plutonie różniła go od inteligenckiego w swej masie plutonu Jeremiego. Chłopcy Lutego słynęli z radości życiowej, co niejednokrotnie było przedmiotem dumy ich dowódcy, ale niekiedy także jego troską, szczególnie gdy w grę wchodziły samowolne akcje zdobywania broni na przechodzących Powiślem „szkopach”. W ustach chłopców nazywało się to „chodzeniem po prośbie”. Czy można się w tych warunkach dziwić, że Luty prosił Pługa o szybkie zlecenie jego plutonowi jakiejś poważniejszej roboty?

Luty stanowił ośrodek życia i aktywności plutonu nie tylko dzięki swej inteligencji, zaradności, powadze i doświadczeniu życiowemu. Jego żona, która objęła szefostwo łączności w plutonie, podobnie jak jej mąż, chętnie widziała w swoim mieszkaniu każdego z chłopców. Wnet też niewielkie pokoiki tego studenckiego małżeństwa stały się główną bazą życia plutonu. Czuli się tu zawsze jak u siebie. Wiedzieli, gdzie leżą klucze, kiedy gospodarzy nie ma w domu, i bez żenady wyjadali wszystkie zapasy, gdy byli głodni.

Pierwszy poważny egzamin bojowej samodzielności plutonu został wreszcie wyznaczony. Miała to być akcja na słynnego konfidenta gestapo – Alfreda Milke, prowadzona wspólnie z grupą „Osjana” z „Brody”. Powaga i odpowiedzialność akcji polegała przede wszystkim na miejscu, w którym miał być wykonany wyrok: miejsce to było jeszcze trudniejsze niż teren akcji na Bürckla. Zamach należało wykonać na dziedzińcu podwórza przy alei Szucha osiem, a więc w bardzo bliskim sąsiedztwie gestapo, którego ośrodek znajdował się w gmachu Sicherheitspolizei przy alei Szucha 23, w dzisiejszym budynku Ministerstwa Edukacji Narodowej. Równocześnie z likwidacją Milkego należało wykonać wyrok na innej parze konfidentów – na dozorcę i dozorczyńnię domu, w którym mieszkał Milke. To drugie zadanie przyjęto w plutonie bez entuzjazmu, ale rozkaz był rozkazem.

Akcję przeprowadzono 5 października 1943 roku, a więc w niecały miesiąc po Bürcklu. Dowodził Przygoda; Luty w tym czasie chorował.

Właściwa grupa wykonawców składała się z trzech ludzi: Przygoda, Olek i Narwik. Weszli szybko do mieszkania dozorcę i Narwik zażądał w języku niemieckim, aby dano mu do sprawdzenia książkę meldunkową. Powiedział, że są z gestapo i chcą sprawdzić spis lokatorów. Gdy Narwik przegląda książkę meldunkową, Przygoda przez okno wygląda na podwórze, gdzie lada chwila pojawić się powinien Milke; Olek nie może oderwać wzroku od dwojga małych dzieci bawiących się w kącie pokoju. Blednie i odczuwa takie osłabienie, że musi oprzeć się plecami o ścianę. Wyjmuje chusteczkę i wyciera zroszone potem czoło.

Mijają minuty. Narwik już kilka razy przejrzał książkę meldunkową, a Milkego wciąż nie widać. Dozorca coraz uważniej przygląda się młodym ludziom. Olek wyjmuje pistolet maszynowy i rozkazuje dozorcóm, aby położyli się na podłodze. Mija jeszcze kilka minut, Milke nie nadchodzi.

Wtem – strzały na ulicy! Pojedyncze, a potem seria z broni maszynowej. „Pilnuj dozorców!” – krzyczy Przygoda do Narwika, a sam z Olkiem wybiega do bramy. Widzą, jak pierwszy z ich dwóch samochodów, prowadzony przez Niemirę, mija bramę i staje przed sąsiednim domem. W samochodzie prócz Niemiry – Bąk i Ssak, ostrzelują się w kierunku wylotu Litewskiej.

Tam właśnie przy rogu Litewskiej i Szucha siedzieli przed kilkoma minutami wszyscy trzej w aucie, którego silnik pracował na wolnych obrotach.

Ubezpieczali wykonawców wyroku i czekali na ich strzały, oznaczające początek akcji – wtedy dopiero mieli podjechać pod Szucha osiem. Przygoda i jego towarzysze dość długo już przebywali w stróżówce dozorczy, lada chwila więc powinno się zacząć... Nagle podchodzi do samochodu oficer SS i wyciąga z kabury pistolet. „Dlaczego tu stoicie?” – pyta po niemiecku. Kierowca Niemira coś odburkuje niewyraźnie i kiwa głową na swoich pasażerów. Gdy Niemiec zwraca się z tym samym pytaniem do Ssaka i Bąka, ci nie wytrzymują napięcia nerwowego, szarpną drzwiczki i usiłują wyskoczyć z samochodu. Niemira strzela do oficera, zabijając go na miejscu, i rusza wozem w stronę placu Unii Lubelskiej. Niemcy, których sporo w tym czasie podąża do biur gestapo, zaczynają strzelać do odjeżdżającego samochodu. Bąk i Ssak ostrzeliwiają się. Niemira opanował gwałtowną chęć ucieczki i zatrzymuje wóz tuż za domem, w którym znajdują się wykonawcy zamachu, aby ich zabrać. Ssak i Bąk chronią się do sąsiedniej bramy i usiłują ubezpieczyć ogniem samochód; zastrzelony zostaje tam podoficer Wehrmachtu.

Na szczęście Przygoda i Olek już wybiegli ze stróżówki. Sekunda wystarczyła, aby Przygoda zorientował się w sytuacji.

– Olek do Narwika! Niech wali w dozorców i do nas!

Olek znów znika w bramie, a po kilku chwilach jest już z Narwikiem na ulicy i teraz cała grupa, ostrzeliwując się, biegnie do samochodu. Przygoda rzuca granat dymny i pod jego osłoną dopadają wozu.

Ruszyli! Cała ulica grzmi strzałami. Jedna z serii niemieckiego erkaemu trafia w tablicę rozdzielczą samochodu. Są ranni – najciężej Ssak, który wymiotuje krwią. Olek dostał postrzał w nogę. Nowe pociski przebijają karoserię. Po kilku chwilach Ssak nie żyje.

Plac Unii Lubelskiej. Od strony Bagateli i Marszałkowskiej ogień uzbrojonych Niemców. Załoga wozu słoczona w środku nie odpowiada na strzały. Kula przebija tylną oponę – wóz zarzuca na skwerek koło pomnika. Niemira wyrównuje bieg. Drugą tylną oponę przebija kula, gdy mijają budynek straży ogniowej – wóz zarzuca na świeżo posadzone drzewko; spod maski wydobywa się ogień, za wozem ciągnie się wyrwane drzewko. Samochód jedzie teraz z szybkością piętnastu kilometrów. Z tyłu ukazuje się duże, otwarte auto niemieckie pełne żandarmów. Bąk ciska przez okno dwie filipinki. Granaty nie wybuchły, ale goniący Niemcy wstrzymali na kilka chwil pościg. Nasi wjeżdża-

ją w ulicę Emilii Plater.

– Z wozu, chłopcy, z wozu – denerwuje się rozgorączkowany Narwik i usiłuje otworzyć drzwiczki.

– Spokojnie, spokojnie – cedzi przez zęby Niemira i nie zwalnia biegu.

Nareszcie Wspólna! Tu mają czekać dwie łączniczki... Niemira hamuje w umówionym miejscu... Są! Przygoda i Niemira oddają broń oraz fałszywe dokumenty Jadwidze i w nogi. Zdenerwowany Narwik nie dostrzegł łączniczek, kryje się więc na klatce schodowej przeciwległego domu. Bąk biegnie w stronę Marszałkowskiej. W samochodzie jeszcze chwilę pozostaje ranny w udo Olek. Ten – obok Niemiry – jest najbardziej opanowany. Wyjmuje z kieszeni nieżyjącego Ssaka dokumenty, broń i dopiero teraz usiłuje wyjść z samochodu. Na szczęście podbiega druga łączniczka – Lutowa, i chwyciwszy Olka pod ramię, prowadzi go w głąb ulicy; w dali, zza rogu, wyłania się ściągający wóz gestapo. Ale uciekający zmieszali się już z potokiem przechodniów.

Ulica rozbrzmiewa teraz gwizdkami. Przechodnie chronią się do bram. Lutowa narzuca pelerynę na podanego jej stena i widząc skrwawione nogawice spodni Olka oraz krew na jego marynarce, wyciąga do chłopca rękę z kluczami.

– Nasze mieszkanie blisko. Nowogrodzka 26. Schroń się tam!

Olek zniknął. Sten w rękach Lutowej nie chce się złożyć. Młoda kobieta szarpie żelazo raz, drugi, trzeci – sten nie poddaje się.

Granatowy policjant naprzeciwno. Patrzy na nią uważnie... Zatrzymuje, ujmując pod rękę i siłą wciąga do bramy.

– Oj, baby, baby – mamrocze, sapiąc. – Przeczekaj, pani, tu w bramie i dobrze owiń swój bagaż.

Dopiero teraz zdenerwowana Lutowa widzi, że spod peleryny wystaje stopka stena. I stopka, i peleryna są we krwi. Zamknęła na chwilę oczy. Potem niezgrabnie przewinęła broń. Policjant zniknął. Gdy wyszła na ulicę, panował tu już zwykły pośpieszny i zagęszczony ruch Śródmieścia.

Następnego dnia przygaszony Niemira spotkał Przygodę.

– Cholerne pudło! – mówi. – Milke zdrów i cały, Ssak nie żyje. Cała akcja do bani!

– Człowieku, człowieku! – woła podniecony Przygoda. – Wracam od Pługa. Wiesz, kogoś rozwalili wczoraj przy aucie? Lechnera! Hauptsturmführera

SS Lechnera, kierownika referatu gestapo do walki z ruchem oporu na okręg warszawski! Pług mówi, że gestapowcy w alei Szucha są przekonani, że to był zamach na Lechnera. Udany i skuteczny zamach, rozumiesz?

Akcja na Bürckla odbyła się 7 września, Lechnera zastrzelono 5 października. 24 września przeprowadził swoją pierwszą akcję drugi pluton przyszłego „Parasola”, zamach na zastępcę komendanta obozu karnego na terenie getta warszawskiego przy ulicy Gęsiej, gestapowca hauptscharführera SS, Augusta Kretschmanna. W tydzień po Kretschmannie miał tenże drugi pluton wykonać akcję na Ernesta Weffelsa, kierownika oddziału kobiecego na Pawiaku. Pawiak w owym czasie skupiał od 2300 do 3000 więźniów, przeważnie politycznych; okrucieństwo jego kierownictwa było powszechnie znane.

Drugi pluton przybrał z młodzieńczą fantazją zaproponowaną przez kogoś nazwę „Bravi”; ukształtował się wokół jednej z drużyn hufca Rudego – „Sąd 100”. Jego dowódcą został bliski towarzysz Rudego – Mirski. Mimo jednak tak bliskich szaroszeregowych powiązań, gdy rozrosły się sekcje, „Bravi” zatracili czysto harcerski charakter. Obowiązywały tu wprawdzie niepisany zwyczajem ogólne zasady szaroszeregowego sposobu bycia, ale nie wszyscy stosowali się do prawa harcerskiego.

Charakterystycznymi postaciami tego plutonu byli: bliski kolega Mirskiego – krzywonosy Góral i nie mniej od niego wyróżniający się przyszły zastępca dowódcy – potężnej budowy bojowy Kopec z Powiśla. Znaczną część plutonu stanowiła młodzież pochodzenia robotniczego, młodzież o niezwykłej bojowości. Ale szczególnie wartościowy zespół tworzyła w plutonie sekcja jego łączniczek, wywodząca się z 58. drużyny harcerek, z drużynową Jenny na czele oraz z dziewczętami, które z czasem stały się podstawą wywiadu parasolowego: Kamą i Dewajtis.

Akcję na Kretschmanna przeprowadził patrol dowodzony przez Kopia i była to robota bezbłędna. Kopec, Cyklon i Rawicz „szli” jak w zegarku. Akcja na Weffelsa natomiast miała przebieg dramatyczny, zaskakujący niespodziankami, przedłużającymi zamach o jedną minutę. Orkan okazał się nieźrównany – to jego upór i wola walki oraz zimna krew zapewniły wynik pozytywny.

Nie będę przedstawiał szczegółów tych akcji ani dziesiątków akcji następujących, wykonywanych przez trzy plutony przyszłego „Parasola”. Opowieść na-

sza nie jest przecież kroniką działań dywersyjnych „Parasola”, te zaś przykłady, które tu podano, powinny wystarczyć, aby zorientować się, jak groźnym aparatem przeciw okupantowi stała się kompania wydzielona Grup Szturmowych. Aparatem bardzo sprawnym, działającym systematycznie i precyzyjnie. Aparatem rozbudowanym, dysponującym własnym wywiadem, własnym parkiem samochodowym, własnym sanitariatem.

Pługa nazywali chłopcy niekiedy „dyrektorem” (choć właściwie ten pseudonim należał do szefa Kedywu – Nila). Było to określenie podwójnie trafne: zarówno ze względu na duży mechanizm konspiracyjny organizmu, którym Pług kierował, jak i ze względu na sposób bycia tego oficera, w życiu przedwojennym inżyniera agronoma, który pogardzał drylem wojskowym i cnoty żołnierskie ujmował po cywilnemu. Fascynował chłopców swym opanowaniem, rozsądkiem, twardością i ciemnymi, krzaczastymi brwiami. „Wzbudzał w nas lęk i szacunek”.

W koleżeństwie wojennym wytrawnego, doświadczonego życiowo Pługa, specjalisty wywiadu – Rayskiego, dynamicznego i inteligentnego przywódcy Jeremiego oraz braterskiego zespołu takich ludzi, jak: Broniek Lot, Mirski, Luty, Orkan, Maryła, Kopec, Robert i wielu, wielu innych kształtował się jeden z dobrych oddziałów Armii Krajowej, bliźniaczy brat batalionu „Zośka”. Oddział, który odegrał decydującą rolę w akcjach dywersyjnych na terenie stolicy.

IV. Najcięższy czas okupacji

Jesień 1943 roku była dla Hitlera złym okresem. Jeszcze w środkowej Europie potęga Rzeszy hitlerowskiej mogła wydawać się niezachwiana, ale groźne zwiastuny nadciągającej klęski już kołatały do niemieckich okien z codziennych komunikatów wojennych ze wschodu i południa. Rosjanie w krwawych walkach zbliżyli się ku Dnieprowi i przeforsowali kilka przyczółków mostowych na jego zachodnim brzegu; Anglosasi wykończyli Niemców w Afryce; Włochy – główny niemiecki sprzymierzeniec europejski – kapitulowały i desantowe dywizje alianckie ustaliły nowy front w środkowych Włoszech. Wydawało się, że lada miesiąc potężne armie amerykańskie i angielskie zaczną lądować w którymś z kluczowych punktów Europy, a wojska radzieckie, złapawszy oddech, ruszą za Dniepr. Nocami na wielkie przemysłowe miasta niemieckie spadały w ogniu pożarów tysiące ton bomb.

Aby wzmóc i pogłębić wśród Niemców stacjonujących w Polsce poczucie zbliżającej się klęski, jedna z komórek sztabowych Armii Krajowej podjęła niezbyt szczęśliwe postanowienie, aby w początkach września rzucić na mury całego kraju słowo „Oktober”. Równocześnie rozsiewane ulotki w języku niemieckim miały wytworzyć wśród Niemców przeświadczenie, że październik – Oktober – będzie dla nich miesiącem jakiejś wielkiej klęski. Może ogromne, niebywałe naloty? Może powstania na obszarze ciemionych krajów?

W stolicy i w miejscowościach podwarszawskich akcję „Oktober” realizowała przede wszystkim organizacja małego sabotażu „Wawer”, na innych terenach Polski działały specjalnie w tym celu wyznaczone grupy. Akcja prowadzona była z rozmachem i wytrwałością. Tysiące ogromnych i małych napisów pojawiało się niemal co dnia na murach, parkanach, chodnikach, jezdniach. „Wawerczycy” i ich koledzy z komórek „N” dwoili się i troili.

Spółeczność niemiecka w Polsce – cywilna i wojskowa – przejęła się nadspodziewanie mocno tajemniczym, działającym na wyobraźnię hasłem. W niepokojach oczekiwano jakichś powszechnych nieszczęść.

Władze okupacyjne uznały za konieczne przeciwstawienie się destrukcyjnej sugestii. Najpierw uruchomiono kontrpropagandę i pewnego dnia obok naszych napisów „Oktober” pokazały się napisy robione masowo przez Niem-

ców: *Oktober – vier Jahre Generalgouvernement* – październik, czterolecie rządów niemieckich w Generalnej Guberni!

A następnie przyspieszono przygotowywane od dawna represje masowe. Polska – obok Jugosławii – była najbardziej niespokojnym krajem w okupowanej Europie, toteż rząd hitlerowski postanowił i w Jugosławii, i w Polsce zdusić środkami specjalnymi ruch niepodległościowy, złamać wolę walki tych narodów, zniszczyć źródła ich sił moralnych, unicestwić opór. Gestapo i Wehrmacht w tych sprawach solidaryzowały się w pełni: na Bałkanach liczone się z desantem Anglosasów, na wschodzie front radziecki mógł lada miesiąc ruszyć znad Dniepru w kierunku Bugu. Należało spacyfikować Jugosławię i Polskę. Bez tego zaplecze niemieckich frontów staje się dla Wehrmachtu jakby olbrzymim, wrogim polem minowym. W Polsce wróg postanowił zastosować akcję prawdziwie szatańską: niebывалым, niespotykanym dotychczas terrorem masowym wytworzyć taki nastrój przerażenia, który by podciął ogólnonarodową wolę walki. 16 października rozpoczęły się w Warszawie rozstrzeliwania uliczne.

Takiej grozy od dawna Warszawa już nie przeżywała. Co dzień lub co drugi, trzeci dzień, a niekiedy po kilka razy dziennie zajeżdżały w te punkty miasta, gdzie zdarzały się jakiegokolwiek akty przeciwniemieckie, samochody policyjne z setką lub dwiema hitlerowskich policjantów i żandarmów. Szybko oczyszczano z ludności część ulicy przeznaczoną na miejsce egzekucji. Wypędzano z wozów więziennych dwudziestu, trzydziestu, niekiedy nawet siedemdziesięciu i stu więźniów lub przypadkowo zagarniętych w łapankach ludzi; wszyscy mieli zakneblowane gipsem i opaską usta oraz związane z tyłu ręce. Ustawiano ich na ulicy pod murem któregoś z kamienic i zabijano strzałami broni maszynowej. Po chwili inna grupa przywiezionych więźniów wrzucała ciała pomordowanych do ciężarówek i cała kawalkada zielonych katów zniknęła. Na bruku pozostawały kałuże krwi. Na murze – ślady kul, rozpryski krwi, drobne strzępy mózgu i włókien mięśni. Wokół – nastrój grozy i bezsilny, rozpacz i pragnienia zemsty.

Kierownictwo Walki Podziemnej odwołało w tym czasie wszystkie drobne akty sabotażowe i dywersyjne, aby nie prowadzić z wrogiem potwornej licytacji. Niestety, hitlerowcy zasmakowawszy w tej jaskrawej i bezwzględnej formie terroru, widząc jego doraźne skutki, nie tylko nie przerwali masowych rozstrzeliwań niewinnych ludzi, ale nawet je wzmogli. W całym kraju, jak długa